



6^a

WAWERLEJ

CZYLI TEMU
LAT SZEŚĆDZIESIĄT.

ROMANS

WALTERA SKOTTA.

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻONY.

101589 TOM II.



2800

Dział

Znak

№ inw

1857
2800

W WARSZAWIE
W DRUKARNI STEREOTYPOWEJ
PRZY ULICY KROLEWSKIĘJ POD NREM 1065.
1830.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

ROZDZIAŁ I.

*Odkrycie. Wawerlej rozgaszczą się
w Tully-Weolan.*

Dnia następnego wstał Edward bardzo wczesnie. Obchodząc dom w około, nagle ujrzał się na małym podwórzu, gdzie właśnie przyjaciel Dawid czynił zadość obowiązkom przełożenia swego w psiarni. Tylko co wejrzał zyzem na Edwarda, obrócił się natychmiast w inną stronę, i udając, że nic nie wie o jego przybyciu, począł śpiewać urywek zestarłej balady:

- „Młodzieniec kocha czule, lecz nie stale;
„*Czy lubisz słuchać jak ptak w górze dzwoni?*
„Mąż dojrzały nie ostygnie w zapale,
„A jarząbek spi, dziób pod skrzydło chroni.
„Gniw młodziana jak wzrośnie, tak przeminie;
„*Czy lubisz słuchać jak ptak w górze dzwoni?*
„Gniw dojrzałego w pamięci nie ginie
„A jarząbek spi, dziób pod skrzydło chroni.
„Któs młodzika przy wieczery wyłaje;
„*Czy lubisz słuchać jak ptak w górze dzwoni?*
„Mąż dojrzały zrana do bitwy staje,
„A jarząbek spi, dziób pod skrzydło chroni.“

Nie trudno było zgadnąć Wawerlejowi, że Dawida więrsze zamykały jakąś dwuznaczną ucinkową myśl; zbliżył się więc do niego i usiłował koniecznie dostateczniej wyrozumieć, do czego by zmierzały; lecz Dawid nie mając żadnej ochoty odpowiadać na pytania, umiał dość zręcznie swoją złośliwość ostonić maską głupoty. Edward tyle tylko od niego się dowiedział, że „laird Balmawhapple dnia wczorajszego zrana wrócił do domu, a obuwie jego krwią było zbrzygane.“ W ogrodzie spotkał znowu starego ochmistrza, który już teraz bynajmniej przed nim nie taił, że będąc wychowany w szkole ogrodniczej pana Sumak et Comp. w Newcastle, jedynie dla przysłużenia się lairdowi i paninie Róży, podejmował od czasu do czasu niektóre małe roboty około inspektów. Po wielu pytaniach, udało się na koniec Edwardowi odkryć, nie bez wewnętrznej zawstydy, że dziwne upokorzenie i uniewinnienie Balmawhapple było skutkiem pojedynku, który się po owiej kłótni zaraz nazajutrz odbył o wschodzie słońca między nim i baronem, i że w tym pojedynku został Balmawhapple rozbrojony i w prawą rękę ranny.

Strapiiony tą wiadomością udał się Edward do swojego zacnego gospodarza, i o mało nie pokłócił się z nim, że mu pierwój z panem Falconer zmierzyć się nie dozwolił; „jest to okoliczność“ rzekł, „któ-

ra mnie wstępującemu w zawód wojskowy, wiele w opinii publicznej zaszkodzić może.“ Usprawiedliwienie się barona zbyt było rozciągnięte, abym je mógł powtórzyć. Przekładał on jemu, że ponieważ doznali obadwa jednakię obrazy; Balmawhapple zatem, jako człowiek honoru powinien był imobudwom dać satysfakcyę; jakoż uczynił to pojedynkując się z jednym, a przepraszając drugiego; co gdy się już skończyło, dłużej tej rzeczy rozcierać nie wypada. Tęm usprawiedliwieniem, a raczej objaśnieniem, choć nie był zupełnie zaspokojony Edward; widział się jednak zniewolony do milczenia. Wszakże nie mógł przeniść na sobie, żeby i głośno nie złorzeczył poświęconemu niedźwiedziowi, który był istotną przyczyną wszelkich niesnasek; oświadczył także, że przydomku *poświęconego*, cale nie iest godzien. Baron odpowiedział: i ja tego jestem zdania, że niedźwiedź ma coś dzikiego w swoim charakterze, nieprzyjemnego i niezgrabnego, lubo heraldycy, stawiają go w rzędzie najszlachetniejszych ozdób herbowych (jak o tē m więcej dowiedzieć się można w *heroglyphica animalium* Archibalda Samsona pastora w Dalkieth)— Rzeczywiście z niego się największe wytaczały zatargi, wrodzie Bradwardinów. Moge tu przytoczyć wypadek, który mnie samemu się wydarzył z jednym kuzynem moim w trzeciej linii ma-

cierzyńskię panem *Hew Halbert*; ten jednego razu śmiał skalać moje rodzinne nazwisko, twierdząc, jakoby ono miało oznaczać *quasi Bear-warden* to jest dozorca niedźwiedzi. Bardzo to było nie pięknie z jego strony; nie tylko bowiem dawał do zrozumienia, jakoby założyciel naszego rodu tymbrzydkim zarobkiem się trudnił, którego chyba najypospolitszy *plebejusz* się chwyci, jakto zapewne panu i mówić nie trzeba; ale nadto kazał się jeszcze domyślać, jakoby nasz herb nie był nagrodą za odznaczenie się na polu sławy, ale że należał, ze względu owych *Paranomasia* czyli dwuwykładnego znaczenia nazwiska familijnego, do rodzaju herbów, które Francuzi *armoirs parlantes*, łacinnicy *armacantantia*, a wy Anglicy *canting heraldry* (herb mówiący) nazywacie; przeto, może się tylko stósować do kuglarzy, samochwalców, fałszerzów, którzy pofabrykowawszy pełne tajemnic znaki i słowa, sobie tylko znane i wiadome, świat niemi mają, a wyobrażenia nawet nie mają o owęj pełnej znacności, rozległej nauce herbowej, która nam wystawia obrazy herbowe jako nagrody za szlachetne bohaterские i waleczne czyny wojenne, o takich zaś tam bredniach ani wspomina.“

Nic więcęj nie mówił o sporze z Panem Hew, tylko, że w przyzwoity sposób został zagodzony.

Wyliczywszy dokładnie wszystkie uciechy których nasz Edward w pierwszych dniach swojego pobytu w Tully-Weolan był uczestnikiem; rozumiem: iż już obeznanego czytelnika z mieszkańcami domu, nie będzie potrzeba tak rozciągle nad każdą chwilą i okolicznością zatrzymywać. Każdy inny młodzieniec do żywszych nawykły rozrywek, byłby się może znudził w towarzystwie tak gorliwego obrońcy herbowej umiejętności, jakim był baron; ale Edward wynagradzał sobie to przyjemną obecnością panny Róży, której sąd w rzeczach literatury był oznaczony cechą wykształconego smaku. Łagodną jej duszą chętnie się nakłaniała do rozporządzeń, które ojciec poczynił we względzie książek mających jej służyć za rozrywkę w czytaniu. W skutku tych rozporządzeń musiała ona odczytywać nie tylko niepospolitę grubości foliały opisujące dzieje zeszte, ale także jeszcze inne olbrzymiego kształtu księgi teologicznych sporów, popierających sprawę biskupiego kościoła. Co do nauki heraldycznej, poprzestał baron na udzieleniu jej powierzchownych tylko wiadomości, jakich nabyć można przez odczytanie dwóch foliałów *Nisbeta* w tym przedmiocie— Rzeczywiście była Róża najdroższym skarbem swego ojca. Jej stateczna uprzejmość, toż czuły wzgląd na wszelki okaz grzeczności dla tych nawet miłej, którzy sami nie chcą

dla drugich być grzecznymi, jój piękność, ustawnie przypominająca baronowi rysy nieboszczki małżonki, jój nieudana pobożność i prawość w sposobie myślenia, wszystko to mogłoby usprawiedliwić wychodzące nawet z granic umiarkowania ojcowskie ku niej przywiązanie.

To atoli przywiązanie barona nie zdawało się rozciągać do okoliczności, będącej głównym staran rodzicielskich celem; chce tu mówić, iż baron nie myślał o zapewnieniu córce swojej niezawisłości przez zamęście bogate i korzystne. Na mocy dawno zatwierdzonego układu familijnego, wszystkie prawie dobra barona spadały po jego zgonie na jednego dalekiego krewnego; było przeto bardzo podobnem do prawdy, że panna Róża mężupłą po ojcę odziedziczy iściznę; zwłaszcza, iż administracya jego dóbr, nadto długo pod wyłącznem zarządem intendenta Macwkeble zostawała. Przynać jednak należy, że wzmiankowany zarządca szczerze kochał swego pana; ale lubił też myśleć o sobie. Ułożył on był w swojej głowie, że układ zapewniający dziedzictwo barona mężkwin potomkom, zerwany być może; i już zasięgnął w tój mierze zdania (bez żadnych kosztów sądowych, jak sam się chwalił,) od komitetu szkockich jurystów, któremu między innymi interesami itenże jasno przełożyć potrafił. Lecz ba-

ron ani wiedzieć nie chciał o tym projekcie; owszem; powielekroć mu się zdarzyło, tyle razy z największą powtarzał rozkoszą, że baronostwo Bradwardine mężkiem jest lennictwem; toż, że pierwsze jego ugruntowanie zasięgało owych czasów, kiedy nie przyznawano kobiétom zdolności posiadania ziemskich dzierżaw; „bowiem według *les coutumes de Normandie, c'est l'homme ki se bas, et ki conseil*, albo jak się wyrażają z mniejszą względnością na płęć piękną wiary godni antorowie (a imiona ich barbarzyńskie z największym wyliczałem upodobaniem), że niewiasta swemu panu lennemu w potrzebie wojennej służyć nie może dla płęci swojej, w radzie także mu nie pomoże dla ograniczonego rozumu, a w końcu że i milczyć nie potrafi, gdyż jest słabego charakteru, i nie mocne stworzenie. Radbym wiedzieć“ mówił dalej z uśmiechem tryumfującym, jakby też to przysłało niewieście, naprzykład z domu Bradwardinów, gdyby jój przyszło czynić *servitium exuendi seu detrahendi caligas regi post bataliam?* to jest gdyby jój przyszło po potyczce zdejmować królowi buty, a toć jest właśnie warunek przywiązany do baronii Bradwardine.“

„Nie, nie!“ zawołał — „bez wątpienia, *procul dubio*, nie jedna niewiasta, tyleż posiadająca przymiotów co Róża, była zniewolona mężkiemu potomkowi ustąpić

w naszym rodzie; i niech mnie niebo strzeże, żebym miał kiedykolwiek działać wbrew woli moich przodków, albo szkodzić mojemu zacnemu kuzynowi Malkolmowi Bradwardine Inchgrabbis, którego chętnie uznaję za nieodrodny szczepek naszego drzewa familijnego.“

Intendent pełniący obowiązki pierwszego niejako ministra, dowiedziawszy się o niezmienném postanowieniu swego samowładcy, osądził, iż najlepiej będzie już nigdy nie odzywać się z podobną radą; udzielał więc tylko kiedy niekiedy Panu Saundersowi ministrowi spraw wewnętrznych postrzeżeń swoich względem uporu i niewyrozumiałości barona; z nim razem układał rozmaite plany co do wydania panny Róży za młodego lairda Balmawhappla, który piękne, nie bardzo odłużone posiadał dobra, a sam był młodzieńcem nie nagannych obyczajów — trzeźwy jak święty, krom małego przyzwyczajenia do wódki; zgoła był to człowiek, który w swoim postępowaniu nic już do życzenia nie zostawia, chyba że czasem bawić się lubi z pustakami takimi jak *np.* Jenker, Roskamm, Gebby Gashrowit, faifer Kuparu; „ależ to jeszcze krew młoda, pustota, Panie Saunderson, z czasem poprawi się!“ tak mniemał intendent.

„Jak kwaśne piwo w lecie“ — dodał Da-

wid Cellatlej, który bliżej nich się znajdował, jak sądzili.

Panna Bradwardine korzystała z pobytu Edwarda w tém odludném ustroniu, przez zabranie scislejszej za jego pomocą znajomości z literaturą. Książki, które Edward z garnizonu sprowadzał do zamku, sprawiały jej rokosz, jakiej dotąd jeszcze nie znała. Znajdowali się między niemi najlepsi angielscy pisarze we wszelkich rodzajach poezyi, i inne dzieła należące do sztuk pięknych. Muzyka, nawet ulubione kwiaty przestały ją zajmować, a Saunders poglądając na to zyzem, i wiedziąc nie chciał o ogrodowej robocie, za którąby mu teraz i jedném słówkiem nie podziękowano. Ta nieznana dotąd uciecha, tém droższą była dla Róży, iż ją podzielała z osobą równie mającą usposobienie; ten sam gust do książek. Objaśnienia Edwarda, przekłady z obcego na ojczysty język trudniejszych miejsc, ułatwiały jej rozumienie tego wszystkiego, czego by bez jego pomocy zrozumieć nie była mogła; zaś burzliwa niezawistość charakteru jej nauczyciela podobała się młodemu niedoświadczonemu sercu, które żadnej w nim nie postrzeżało skazy. W przedmiotach które jego samego zajmowały, które najsilniej do jego duszy przemawiały, tłómaczył się Wawerlej z zapałem i wymową rozognionój wyobraźni, co takie czasem

czyni wrażenie, na czułym kobieciej sercu, jak i owe zewnętrzne powaby: piękny kształt, piękne imię, sława lub majątek. Z tych ciągłych stósunków i ustawnego przebywania sam na sam, urosło wielkie niebezpieczeństwo dla pokoju serca biednej Róży, tém groźniejsze; iż sam baron ustawnie zajęty wyszukiwaniami naukowymi, nie mógł dostrzedz, co się w jego własnym domu święciło; a zbyt wysoką unosząc się chlubą osobistej godności, ani pomyślał, aby Róża jego przestrog w tej mierze potrzebowała. Córki domu Bradwardine, tak jak córki domów burbońskiego, lub austriackiego, były wywyższone, zdaniem jego, nad mglistą krainę namiętności, które zazwyczaj na umysły pospolitych tylko kobiet wpływają; były to istoty winnej żyjące sferze, innymi napojone uczuciami, innymi rządzące się prawami, a czułość dla nich była marnym bezkorzystnym owocem. Słowem patrzył on spokojnym okiem na stósunek swojej córki z Edwardem; a całe okoliczne sąsiedztwo wnioskując z tej powolności, iż baron zamysła usidlić bogatego Anglika wdziękami swojej córki, sądziło, iż daleko rozsądniej poczyna sobie w tej mierze, niżeli dotąd we wszystkich innych okolicznościach.

Gdyby w rzeczy sam miał baron taki zamysł, byłby nieprzedamaną znalazł przeszkodę w oziębłości Wawerleja. Od czasu

bowiem jak nasz bohater większej nabył znajomości świata, nie mógł bez zgrozy i wstydu przypomnieć sobie scen z Cecylią; to nie miłe wspomnienie dostatecznym było, na czas długi, dla niego hamulcem. Zresztą Róża Bradwardine, choć piękna i ujmująca, nie miała jednak tej urody i tych wdzięków, które młodzieńczą romansową zajmują imaginację. Była ona szczerą, uprzedzającą, dobroduszną; bez wątpienia arcy szacowne przymioty, które atoli rozbijają wyższy urok użyczający wdzięków przedmiotom młodocianej fantazyi. Mógłże Edward padać na kolana i drżyc przed płochą, wesołą dziewczyną, która pióra mu poprawiać, to znowu jaki urywek z Tassa tłumaczyć, to wreszcie kazała sobie powtarzać, jak się wymawia to lub inne słowo długie a nie podobne do wyrażenia w przekładzie? Wszystkie te powaby mają czarowną potęgę w pewnej epoce życia, ale nie w ten czas; kiedy po pierwszy raz młodzieniec wstępuje na scenę świata, i szuka raczej przedmiotu, któregoby miłość obudziła w nim wyższe jego własnego jestestwa uczucie, nie zaś takiego którego rysam od niego takowej potrzebuje pomocy. Ztąd też pochodzi, aczkolwiek tej dziwacznej namiętności pod żadne prawa podciągnąć nie można, że pierwsza miłość w wyborze swego przedmiotu zazwyczaj dumą się unosi; albo co na jedno wy-

padnie, z tego punktu, (jak się nawet przydarzyło z ową Cecylią) szuka przedmiotu dla siebie, z którego ów upatrzony *bel ideal* w najpiękniejszych odbija się kolorach; a właśnie też one wtenczas płowieją, kiedy do kochanki niezbronny, poufały, codzienny przystęp mamy. Znam ja bardzo utalentowanego czulego młodzieńca, który się rozmiłował namiętnie w jednej młodej Pani; téj władze unystowe, na nie szczęście nie odpowiadały udatnej kibici i nadobnej twarzy; owóż gdy rzeczonemu młodzieńcowi raz tylko pozwolono przez całe popołudnie nagadać się z ukochaną; wnet odbiegła miłość— powrócił dawny pokój duszy. Gdyby Edwardowi pozwolono choć raz pomówić z panną Stubs, zapewnić mogę, że wszelka troskliwość ciotki i ostrożność byłyby zbyteczne; tym samym bowiem sposobem mógł się być zakochać w którejkolwiek wiejskiej dziewczynie. Lubo charakter panny Bradwardine całe był inny, zdaje się jednak, że właśnie ta poufałość i otwartość w stosunkach z Edwardem, innych w nim uczuć prócz braterskiego przywiązania rozniecić nie mogły. Przeciwnie serce biednej Róży, z każdym dniem mimo jej wiedzy szło za popędem nieznanym wrażeń, coraz czulszego przywiązania.

Powiniennem był uwiadomić czytelnika, że Edward prosił i otrzymał pozwolenie

przedłużenia swój nieobecności w pułku. List pułkownika, który mu to obwieszczał, zamykał oraz przyjacielskie napomnienie, żeby całego czasu nie trawił w wyłącznym towarzystwie osób, z kąd inąd wielce szacownych, jednak nie najlepiej widzianych od rządu, któremu należnego hołdu posłuszeństwa złożyć wzbraniały się. Dalej pisał pułkownik grzeczniemi wyrazami, że chociaż być może, iż familijne względy zniewalają kapitana Wawerleja do utrzymywania stosunków z obywatelami, na których tak ważny ciężki zarzut, powinienby on jednak pamiętać na położenie ojca swego, i tych stosunków nie posuwać aż do wyłącznego z rzeczonemi osobami przedstawiania. W końcu dodał, iż mocno się obawia, iżby kapitan Wawerlej obcując z ludźmi różną wiarę mającymi, nie zarwał błędów duchowieństwa katolickiego, które w rzeczach kościelnych usiłuje królewską utrzymać prerogatywę. Szczególniej zaś ostrzegał, żeby za przykładem świeckich osób tego stronnictwa, politycznego nie odmienił zdania. Ta ostatnia z szczerego serca udzielona rada, innego skutku na umyśle Edwarda nie sprawiła, tylko że i pierwsze policzył między przesady i uprzedzenia swego dowódcy. Uważał on dobrze, iż pan Bradwardine, aczkolwiek sam tak żarliwy stronnik wygnanej rodziny, że koło jej przywrócenia nie je-

dno podejmował staranie, dość jednak przezornie unikał wszelkiej sposobności, wszelkich rozinów, zmierzających do podkopania zasad jego politycznego sposobu myślenia. Przetoż będąc pewnym, iż go nikt nie zwiedzie z tej drogi, której jako wierny poddany trzymać się postanowił, mniemał nasz bohater, iż mu nie wypadało, dla czczych podejrzeń sprawiać przykrości staremu przyjacielowi swojego stryja, o puszczeniu domu, gdzie tyle doznawał życziwych ku sobie chęci, gdzie się tak przyjemnie bawił. Odpowiedziawszy przeto w ogólnych wyrazach swemu przełożonemu, że nic go nie zmusi do złamania poprzedzającej monarsze wiary, na dłuższy czas pozostał gościem w Tully-Weolan.



ROZDZIAŁ II.

Rabunek i tegoż skutki.

Już Edward sześć tygodni bawił w Tully-Weolan, gdy jednego poranku wróciwszy z przedśniadanej codziennnej przechadzki, w całym domu niezwykle postrzegł zamieszanie. Cztery bose dziewczki biegły z próżnemi saganami od mléka, przeraźliwe wydając okrzyki rozpacz i żalu. Poganin jaki sądząc z wejrzenia, byłby je wziął za oddział sławnych, pokutujących Bellid, skazanych na noszenie wody! Gdy ten roztargniony chór same tylko wrzaski wydawał: „Boże dopomóż nam! ach Panowie ratujcie!” tudzież łkania, przyczynę trwogi nie wyjaśniające; wybiegł Wawerlej na podwórze, z kąd postrzegł intendenta na koniu przez ulicę wchodową galopującego z całym, na jaki się tylko zdobyć mógł, pospiechem. Przybywał on, jak się zdawało nagłym zawołany poselstwem, w towarzystwie kilku

nastu pieszych wieśniaków, którzy mu z łatkowścią dotrzymywali kroku.

Intendent zbyt poważną nastroił minę człowieka nadzwyczajnie zatrudnionego, aby miał Edwardowi jakichkolwiek objaśnień udzielić w tej mierze. Natychmiast kazał do siebie przywołać Saundersona, który wraz przybył z niemalą trwogą, a potem obadwa tajemną złożyli radę; cała zaś gromada chłopów zdawała się gotować do pospolitego ruszenia. Był tam także Dawid Gellatlej nieczynny i obojętny jak Dyogenes z Synopy. Co bądź sprawało wrzawę, we wszelkić czy dobrój czy niepomyślnój przygodzie, wszystko to rozweselało Dawida; śpiewał on natenczas, skakał i tańczył powtarzając wiersz końcowy starój ballady:

„Wszystko przepadło.“

nakoniec za zbliżeniem się do intendenta, otrzymał od niego należyty upominek barapanikiem, co zmieniło jego radość i śpiew w skargi i narzekanie.

Ztamąd udał się Wawerlej do ogrodu, gdzie zastał samego Barona szybkim krokiem przechadzającego się potarasie; postawa jego oznajmiała obrażoną dumę i gniew; z wszystkiego zaś wnosić było można, że wybadywanie przyczyny tego nieukontentowania byłoby dla niego bolesne, jeżeli nie obrażające. Nie rzekłszy więc i

słowa, pobiegł Wawerlej do domu. W sali jadalnej znalazł swoją młodą przyjaciółkę Różę także zmartwioną i zamysloną, choć nie tak namiętnie oburzoną jak jej ojciec, ani tak zajęta jak intendent, ani też tak rospaczającą jak sługi dworskie. Jedném ona słowem całą wyjawiała tajemnicę. „Kapitanie Wawerleju, nie będziesz Pan dziś jadł śniadania; banda Kateranów napadła dzisiejszój nocy na nasze obory, i wyprowadziła nam wszystkie krowy dojne.“

„Banda Kateranów?“

„Tak jest; banda rozbójników z sąsiedzkiego górnego kraju. Póty było dobrze, pókiśmy Fergusowi Mac-Iwor-Vich-Jan-Vohrowi haracz opłacali; atoli zdało się memu ojcu, jakoby taka uległość uwłaczała jego rodowi i imieniu; w skutku tego przydarzyło się nam obecne nieszczęście. Nie obchodzi mnie tyle strata krów Kapitania Wawerleju— ale mój ojciec mocno czuje się być obrażonym, a tak jest porywczy i śmiały, iż niezawodnie zechce gwałtem odzyskać stratę; a choćby i nie był tak rozgniwany, niechno tylko zaczępi owych dzikich ludzi, ręczę, że przez całe nasze życie pokoju mieć nie będziemy. Wreszcie, już teraz nie możemy się tak bronić jak z dawnych czasów, gdyż nowy rząd wszelki oręż nam odjął; a mój ojciec jest tak niebaczny! tak popędliwy!

O! co to będzie! co to będzie!“ Tych słów domawiając, rzéwnie płakać poczęła. W téj chwili nadchodzący baron, tak twardemi złażał ją słowy, jak nikogo jeszcze za pobytu Wawerleja w Tully-Weolan — „Nie maź ona wstydu w oczach“ rzekł, „szlachac w przytomności obcego człowieka, i jakby córka jakiego poddanego lub dzierżawcy łzy wyléwać za trzodą rogatego bydła i krów dojnych! Kapitanie Wawerleju! proszę cię, inaczej sobie tłómacz przyczynę jéj żalu; płacze ona, albo raczej płakaćby powinna dla tego, że widzi obra ojca swego wystawione na napady i łupiestwo podłych złodziejów, rabusiów; a tymczasem zakazują nam mieć dla własnej obrony kilkanaście karabinów w domu!“

Do piéro wszedł do pokoju Macwheebie; poświadczywszy wyrazy barona co do braku broni, doniósł żałośnym głosem swemu panu, „że chociaż gromada chętnie usłucha pańskich rozkazów, na nicby się to jednak nie przydało, gdyż tylko kilku dworskich mają pistolety i pałasze, rozbójników zaś jest dwunastu silnych górali, a wszyscy w doskonałą broń opatrzeni, obyczajem górnego ludu.“ Zdawszy ten smutny raport, nastroił znowu postawę nieméj uniżoności, kiwając głową na tę i na owę stronę naksztakt pendułu wkrótce zastanowić się mającego; póki naostatek

wszelki ruch nie ustał w jego ciele, które teraz bardziej niżli inną razą wedwoje zagięte, wypukleszy jak zwyczajnie kabłąk formowało.

Baron zacięty w gniewie przechodził się tymczasem po pokoju; utkwivszy wreszcie wzrok swój w popiersie, którego figura pancerzem była pokryta, a twarz przegłądała z pod niezmiernie długich i gęstych włosów, rzekł: „Ten szlachcie, Kapitanie Wawerleju, mój to dziadek, pobił i wypędził z pomocą dwustu konnych, na własnym gruncie uzbrojonych, więcej niżeli pięciuset tych rozbójników górali, którzy zawsze byli *lapis offensivis et petra scandali*, to jest kamieniem obrażenia i potknięcia się, dla mieszkańców dolin — poraził ich, mówię, na głowę wtenczas, gdy bezczelnie odważyli się tu przybyć, i kraj pustoszyć w czasach domowych niepokojów, w roku pańskim sześćsetnym czterdziestym drugim — a dziś, Panie, ja, jego wnuk, muszę bezkarnie znosić taką obelgę!“

Nastąpiła uroczysta pauza; poczem každy z obecnych, jak zwykle w trudnych dzieje się przypadkach, udzielał rady według swojego *widzimisię*. *Alexander ab Alexandro* mówił, że należało wyprawić poselstwo do Kateranów, którzy z ochotą, jak sądził, zechcą się ułożyć względem zwrotu wprowadzonego bydła, byleby im

zapłacono od każdej sztuki po dolarze. Intendent sądził, iż takowy postępek byłby złodziejstwa nagrodą, a opłata uwięzieniem kradzieży: radził przeto, iż lepiej byłoby wysłać jednego tylko człowieka z workiem nadzianym talarami, aby tenże niby z własnej ochoty najkorzystniejszą zawarł z łotrami umowę, bez pośrednictwa barona. Edward rzekł, iż najlepiej będzie sprowadzić z najbliższego garnizonu oddział żołnierzy, i zyskać pełnomocnictwo od zwierzchności uwięzienia złoczyńców; a Róża mniemała, iż najpożyteczniej byłoby zaległy wypłacić haracz Mac-Iwor-Vich-Jan-Vohrowi, który, jak wszystkim wiadomo, najdzielniej przyłożył się może do odzyskania trzody.

Na żadne w tej mierze przełożenie nie zgodził się baron; każdy otwarty czy potajemny układ z rabusiami, zdawał się mu być haniebnym. Rada Wawerleja dowodziła tylko, że on nie znał stanu tego kraju, i politycznych, które go rozdzielały, stronnictw. „Co się tyczy zatargów z Fergusem Mac-Iwor-Vich-Jan-Vohr“ rzekł baron, „wyraźnie oświadczam, że mu ani kroku nie ustąpię, choćby mi chciał wszystko zwrócić, co cały jego Klan od czasu Malcolma Canmora zabrał mojej rodzinie!“ Wotował on rzeczywiście za wojną, oświadczając, że należało wysłać górców do Balmawhappła, Killancurajta, Tu-

liellum, i do innych lairdów narażonych na podobne niebezpieczeństwo, celem nakłonienia ich do wspólnego popierania tej sprawy; „a wtenczas, mój Panie“ rzekł, „*ii nebulones nequissimi*, jak ich Leslaeus nazywa, doznają losu przodka swego Kalkusa:

Elisos oculos et siccum sanguine guttur.“

Intendent żadnej wojny nie lubiący, dobył ogromny zegarek kieszonkowy, z kształtu i ledwo nie objętości podobny cynowemu talerzowi, uwiadamiając obecnych, że już jest dziewiąta godzina, aże Katteranów o wschodzie słońca widziano w wąwozie Ballybrough; więc nim sprzymierzeni nadciągną, już nieprzyjacieli z łupem ujdzie w niedostępne góry, gdzie ścigać go byłoby i niebezpiecznie i niepożytecznie. Był to główny i nieodparty zarzut: przetoż zamknięto posiedzenie nic nie uchwalwszy, jak nie raz znakomitszym przydarza się głowom, i o ważniejszych radzącym okolicznościach. Na jednem tylko stanęło: że intendent swoje trzy krowy dojne dla użytku rodziny barona przysłał do zamku, a sam warzyć będzie cienkie piwo dla własnej potrzeby. Z tego projektu, do którego pierwszą myśl podał Saunderson, mocno się cieszył intendent, raz przez zwykły szacunek dla rodziny barona; a powtóre, iż wiedział dobrze, że jego uczyn-

ność dziesięciorako wynagrodzoną zostanie.

Baron odszedł dla dania stósownych rozkazów; Wawerlej korzystał z tej sposobności, czyniąc rozmaite zapytania Pannie Róży, a mianowicie: czy ten Fergus, którego drugiego imienia nie podobna było wymówić, był hersztem łotrów?

„Hersztem łotrów!“ powtórzyła Róża z uśmiechem, „wszak to szlachcic będący u wszystkich w wielkiem poważaniu, naczelnik potężnego Klanu górali; a jego i plemienników jego rodu, lękają się wszyscy mieszkańcy dolin.“

„A cóż to on ma do czynienia z rozbójnikami? Jestżę policyjnym urzędnikiem, któremu zlecono czuwać nad spokojnością w kraju?“

„Raczej nad wojną, gdyby mógł być podobny urząd“ odpowiedziała Róża. „Jest to bowiem bardzo niebezpieczny sąsiad dla tych, którzy nie są jego przyjaciółmi; ma więcćj ludzi na swoje rozkazy, niżeli inni trzy razy bogatsi od niego. W jakich zaś stósunkach zostaje z rozbójnikami, tego ja sama dobrze nie wiem; wiem tylko, że żaden z nich ani podkowy nie ukradnie tym, którzy wykupne opłacili Vich-Jan-Vohrowi.“

„I cóż to jest wykupne?“

„Jest to rodzaj daniny bezpieczeństwa, którą płacą mieszkańcy dolin i posiadacze

dóbr upodnoża kraju górnego, któremukolwiek naczelnikowi górali; aby i sam nie wyrządzał krzywdy, i innym tego czynić nie dopuszczał—rzecz tak się ma: gdyby Panu *np.* ukradziono bydło, potrzebowalibyś tylko udać się do niego w takim razie, a natychmiast strata byłaby wrócona; a jeśliby on nie był w stanie wysledzić jej sprawców, natenczas napada na odległą okolicę, z której mieszkańcami zostaje w niezgodzie, zabiera ich krowy, i przyprowadza w miejsce skradzionych.“

„I taki Jonathas Wild z górnego kraju, ma przystęp do społeczeństwa, i szlachcicem się zowie?“

„Tak jest; i to w takiem rozumię się poważaniu, że niesnaski między nim, a moim ojcem wywikłały zię na pewnym zborze ziemskich właścicieli, z tej przyczyny: że Mac-Iwor przechwalał się, jakoby on sam trzymał przodek przed całą obecną szlachtą z nizin; na co mój ojciec żadną miarą zezwolić nie chciał. Mac-Iwor przyciął następnie mojemu ojcu, mówiąc: że jako płacący haracz, do jego należy obwodu, co nadzwyczaj mojego ojca rozgniewało, albowiem intendent Macwheble tak załatwiał tę rzecz, iż mój ojciec nie nie wiedział o opłacanej daninie, która pod inną rubryką w rejestrze wydatków zapisywana była. Byliby się zaraz na miejscu pojedynkowali, ale Fergus Mac-Iwor rzekł szla-

chetnie, że nigdy swojej ręki na siwą nie podniesie głowę, a szczególnież na głowę, która takiego szacunku była warta. O! jakżebym sobie życzyła, żeby oni byli zawsze sobie przyjaciółmi!“

„Czy Pani widziałaś kiedy tego Pana Mac-Iwora? jeżeli takie jest jego imię.“

„Nie, to nie jest jego imię; onby się poczytywał za skrzywdzonego, gdybyś go Pan nazwał *panem*, chyba miał wzgląd na to, że jesteś cudzoziemcem i nie znasz zwyczajów tego kraju. Mieszkańcy dolin, jako téż i inna szlachta, mianują go tytułem jego posiadłości Glennaquoich, górale zowią go Wich-Jan-Wohrem, to jest synem wielkiego Jana, a my tu przy podnóżu gór, nazywamy go bez różnicy obudwoma imionami.“

„Ja wątpię, żebym był kiedy w stanie moją angielszczyznę nagiąć do wymówienia jednego lub drugiego nazwiska.“

„Ztém wszystkiém jest to bardzo grzeczny i przystojny młodzieniec“ rzekła Róża, „a jego siostra Flora, jedną jest z najpiękniejszych i najlepiej ukształconych dam w całej okolicy; była ona wychowaną w klasztorze we Francyi — przed tymi zatargami, żyłyśmy z sobą w najlepszej przyjaźni. Kochany Kapitanie Wawerleju, spraw to wpływem swoim u mojego ojca, żeby te nieporozumienia zgodnie załatwione zostały. Przekonana je-

stem, że to są tylko początki daleko większych grożących nam nieszczęść; ponieważ nigdy nie było ani pokoju ani bezpieczeństwa w Tully-Weolan, po wiele razy zostawaliśmy w nieprzyjacielskich stosunkach z góralami. Gdym miała lat dziesięć, przyszło raz do bitwy między dwunastu góralami a moim ojcem i jego dworzakami. Kule porozbijały kilka szyb w północnej stronie zamku; tak blisko się potykali! Trzech górali poległo na placu. Towarzysze zabitych wnieśli zawiniętych w pledy do sieni i odbiegli. Nazajutrz przyszły żony i córki poległych, poczęły załamywać ręce, przeraźliwie krzyczyć i jęczyć, wreszcie wyniosły zabite ciała przy odgłosie żałośnych śpiewów i piszczałek. Przez sześć tygodni od strachu spać nie mogłam; ciągle mi brzmiały w uszach ten okropny pogrzebowy głos, ciągle w oczach stały ciała złożone na schodach kamiennych przed sienią, obwinięte krwią zbroczonemi tartanami. Ale zaraz po tém zdarzeniu zjechał oddział żołnierzy z garnizonu Sterling, i namocy upoważnienia udzielonego sobie przez władze wyższe, zabrał nam wszystką broń; a jakże się teraz obronimy, gdy nas opadną górale?“

Mimowolnego wzruszenia doznał Edward, słysząc powieść nakształt poetyckiego zmyslenia. Stała przed nim dziewczyna

na, zaledwie lat siedemnaście mająca, naj-
milszą z płci swojej; ona była świadkiem
wypadków, jakie tylko, albo własną stwā-
rzała imaginacją, albo z przeszłości wy-
woływała. Zdarzenia te zaostrzyły jego
ciekawość; nie zważał bynajmniej na nie-
bezpieczeństwa, które w podobnych przy-
padkach są tylko zmaglającym bodźcem
do zanurzenia się w ich odmęcie. Mógłby
był razem z *Molipolio* zawołać: „już te-
raz nie będę gonił za czczemi marami!
Jestem w krainie rycerskich, romanti-
cznych przygód — gdzie spojrzę, wszędzie
mogę być tych zdarzeń uczestnikiem.“

Szczegóły wyświadcające rzeczywisty stan
tęj części kraju, zdają się mu teraz nowe
nadzwyczajne. Wprawdzie słyszał on o ło-
trujących góralach; ale o *metodzie*, czyli
porządnym trybie rabunków, żadnego wyo-
brażenia mieć nie mógł; ani że takowe
spełniane bywały za wyraźnym częstokroć
naczelników rozkazem, którzy tym spo-
sobem obznajamiając współbraci swego
Klanu z bronią, i niebezpieczeństw, roz-
szerzali zbawienny postrach, między są-
siedzkimi dolin mieszkańcami, a ci jak
już namieniłem, okupywać się musieli do-
browolnym podatkiem.

Intendent Macwheele wszedłszy do po-
koju, obszerniej jeszcze zaczął rozwodzić
się w tym przedmiocie. Wyrażenia tego po-
ważania godnego męża tak dalece tchnęły

duchem jego zatrudnień i urzędu; który
piastował, że Dawid Gellatlej pewnego ra-
zu, rzekł: „nasz intendent prawi jak syn-
dyk.“ Upewniał on naszego bohatera, że
od niepamiętnych czasów włóczęgi, bez
sposobu do życia mieszkańcy gór, w pe-
wne łączyli się towarzystwa jednem ozna-
czone nazwiskiem, których statecznym ce-
lem było: kraść, rabować, łupić poczciwych
mieszkańców dolin. Zabierają oni nie tylko
zboże, bydło, konie, krowy, owce, i inne
rzeczy gospodarskie, wedle swojej niego-
dziwej woli i upodobania; ale nadto jeszcze,
o zgrozo! porywają z sobą ludzi chrze-
ścijan, których wykupować trzeba z nie-
woli, albo wrękojmie dobrowolnego po-
wrotu ogromne zostawiać summy. Wszy-
stkie te nadużycia przez ustawę prawną
najwyraźniej były zakazane, jako też przez
rozporządzenie rządowe z roku 1567; atoli
owe ustawy, statuta bądź ogłoszone, bądź
które na przyszłość jeszcze ogłoszone być
mogą, wzgardzone, zdeptane zostały w spo-
sób jak najokrutniejszy i najsromotniej-
szy, przez wyżej wymienionych łotrów,
złodziejów, rabusiów i rozbójników, którzy
jakośmy powiedzieli, w towarzystwa się
gromadzą, i łączą teraz jeszcze celem wy-
godniejszego dokonywania złodziejstw,
gwałtów, podpałań, zabójstw, *raptus mu-
lierum*, czyli gwałtownego uprowadzania

kobiet, i wielu innych tym podobnych zdrożności.“

Wawerlejowi senném zdawało się urojeniem, że ludzie przywykli do gwałtów i zdrożności tak przeciwnych woli prawa w składzie porządnej społeczności! Toż nawet, że obojętnie o tem mówić mogli. I to go także wprawiło w zadumienie, że aby na własne oczy ujrzeć miejsca, gdzie podobnych zdrożności się dopuszczano, nie potrzebował ani dalekich mórz przebywać, ani przenosić się na drugi koniec świata, ale tylko ujechać kilka mil w kraju, zwanym Wielką Brytanią!



ROZDZIAŁ III.

Niespodziwany zjawia się sprzymierzeniec.

Około południa wrócił baron do zamku. Po większej części odzyskał już swoją wesołość i dobry humor. Nie tylko stwierdził, co panna Róża i intendent Edwardowi rozpowiadali, ale nadto przydał kilka anegdot z własnego doświadczenia malujących dokładnie i obyczajnie kraju górnego i jego mieszkańców. Naczelników ich nazywał w ogólności znacną szlachtą, od dalekich a sławnych przodków swój ród wiodącą; „jedno słowo“ mówił baron, „przez takiego naczelnika wyrzeczone, staje się prawem dla plemienników jego rodu i podwładnych, zgoła dla całego klanu. Jużci nie powinnyby oni przypuszczać sobie do głowy, co już nie raz zdarzyło się, jakoby ich *Prosapia*, czyli rodowód szlachecki, polegający jedynie na nie nieznaczących i nieautentycznych tradycjach ich *Seannachies* i *bhairs*

(bardów) mógł iść w porównanie, z ową wyrozumiałą i jasną treściwością starych dyplomów szlacheckich i przywilejów zeszlętych wieków, które znakomitym domom, rozmaici królowie szkoccy nadawali. Mimo to jednak ta ich *Outre cuidance* i zarozumiałość tak dalece wybija z kluby, iż posiadających owe doskonałe prawdziwego szlactwa rodowody poniżają, gardząc nimi i pomiatając; jak gdyby cała powierzchnia ich górnego kraju jednym tylko była pargaminem nakryta.“

To objaśnienie tłumaczyło zarazem jedną z głównych przyczyn nieporozumienia trwającego między baronem a jego sprzymierzeńcem góralem. Nie rozwodząc się dłużej w tej mierze, opowiedział baron tyle jeszcze dziwnych szczegółów ze względu obyczajów, zwyczajów, i maxym, tego patryarchalnego pokolenia; że Edward nie mogąc powściągnąć swojej ciekawości, zapytał, czyliby nie było można uczynić wycieczki w sąsiedzkie góry? przydał nadto: że już oddawna miał zamysł zwiedzenia tego kraju. Baron odpowiedział: „nicby łatwiejszego nie było, byle tylko pomieniony spór został zagodzony; dałbym ci Kapitanie“ rzekł dalej, „listy polecające do najznakomitszych naczelników, którzyby cię najuprzejmiej i najgościnniej przyjęli.“

Rozprawiali jeszcze z sobą w tej mate-

ryi, gdy oto nagle roztwierają się drzwi, i wchodzi do pokoju prowadzony przez Saundersa Saundersona, góral od stóp do głów uzbrojony. Gdyby nie to, że Saunders wprowadzając rycerskiego męża, sprawował powinność mistrza obrzędów; i że, ani pan Bradwardine, ani panna Róża żadnego nie okazali podziwienia; niewątpliwie byłby Edward poczytał jego wejście, za napad nieprzyjacielski. Irzeczywiście, nie mógł on bez wielkiego zadumienia poglądać na górala szkockiego w stroju narodowym. Był to krępy mężczyzna, dumny, z pochmurnym wejrzeniem; a szeroki pled używał mu pozorowi silniejszego człowieka, niżeli był wistocie. Krótki kitel, czyli letnik, ud jego kształtnych i mocno zbudowanych nie osłaniał. Torba z koziej skóry wisała z przodu, między pistoletami i kindżałem. Czapkę zdobył krótkie pióro znamionujące *Duinhé Wazcla*, czyli szlachcica; duży pałasz zawieszony był u jego bioder, a tarcza na plecach; wręce jednej trzymał długą strzelbę, a drugą zdjął czapkę wchodząc do pokoju. Baron obznajmiony z ich zwyczajami i zwykłym pozdrowieniem, przemówił do niego, nie wstając z miejsca: mniemał Edward, że książę udzielił przyjmując gościa: „Witaj Ewanie Dhu Maccumbisch! cóż nam nowego zwiastujesz od Fergusza Mac-Iwora-Vich-Jan-Whora?“

„Fergus Mac - Ivor - Vich - Jan - Woher“

rzekł poseł dobrą angielszczyzną, „pozdrowia was baronie na Bradwardine i Tully-Weolan; ubolewa on i mocno żałuje, że was i jego przegradza teraz chmura zacieniająca związki przyjaźni, które między waszemi i waszych przodków domami istniały od niepamiętnych czasów. Prosi on was baronie, żeby ta chmura rozprószyć się mogła, i żeby znowu tak wszystko było, jak bywało dotychczas między klanem Iwor a Bradwardinów rodem; póki nie kamień, ale jajo was rozdzielało, nie miecz ale nóż stołowy. Rozumié on, a i wy baronie toż samo powiecie, że ta chmura was boli; z resztą niechaj się nikt nie pyta, czy ona z góry w dolinę, czyli téż z doliny w górę się podniosła: gdyż nigdy nie biją ci pochwą, którzy nie chcieli rąbać pałaszem; a biada temu, kto przyjacielu chce utracić dla jednéj nawalnój chmury wiosennego poranku.“

Na to odpowiedział baron z stósowną pompą. „Wiem ja, że głowa klanu Iwor sprzyja królowi; i ja bardzo tego żałuję, że się rozpostarła chmura między mną a szlachcicem tak zacnie myślącym: bowiem gdy się zetrą z sobą ludy, ten słabszy, kto nie ma brata.“

Ta odpowiedź zdała się dostateczną; ku mocniejszemu utwierdzeniu tak uroczyście zawartego sojuszu między dwoma znakomitemi domami—kazał baron przynieść sporą miarę wódki zaprawionéj korzenia-

mi, nalał pełną szklankę, i wypił za zdrowie i pomyślność Mac-Iwora Glennaquoich; ambasador zaś celtycki, napełniwszy w odpłacie wdzięczności potężny puchar, wychylił takowy za zdrowie domu Bradwardinów życząc nawzajem wszelkiéj pomyślności.

Tym sposobem ugodziwszy poseł fundamenta niyb przedwstępnej ugody ku zawarciu powszechnego pokoju, wyszedł z panem Macwheebie celem załatwienia kilku podrzędnych artykułów, o których baron nie wiedzieć nie potrzebował. Tyczyły się one zaległych *subsidiów*; intendent obmyślał sposób zaspokojenia sprzymierzeńca, nie uwłaczając bynajmnieéj powadze i godności swego patrona.

Bądź co bądź, to pewna, że gdy dwaj pełnomocnicy gęstemi wypróżnili łykami jedną jeszcze szaszę wódki, (która tyle prawie znaczyła dla tych opojów, co gdyby ją wlano w gardła dwóch niedźwiedzi kamiennych przy bramie Tully-Weolan); naówczas Ewan Dhu Maccombisch począł uważnie się dopytywać o wszystkie okoliczności, dotyczące rabunku popełnionego zeszłej nocy; wkońcu oświadczył, iż musi co żywo w drogę pospieszać dla wyszukania ujętój trzody, która jak mówił, nie mogła przepaść,“ bowiem choć kości potłuczono, nie było jednak dość czasu do wyssania szpiku.“

Nasz bohater wyszedł razem z Ewanem Dhu na te zwiady; wydziwić się on nie mógł jego przezorności w śledztwie i wprawnemu dowcipowi, którym z przypadkowych podań bardzo prawdziwe wnioski wyciągał. Nie mało także pochlebiało Ewanowi Dhu, że Wawerlej wszystkiemu co on mówił tak pilnie się przysłuchiwał, ciekawie zasięgając wiadomości ze względu obyczajów i okolic górnej Szkocyi. Z otwartą szczerością zaprosił z sobą w góry Edwarda do miejsca na dziesięć lub piętnaście mil odległego, gdzie było zagnano; przydał także: „jeżeli tak jest, jak myślę, w takim razie śmiało mogę ręczyć, iż przez całe wasze życie takie goście ustronia nie widzieli i widzieć nie będącie, chyba byście tam poszli ze mną, albo z takim jak ja.“

Myśl nawiedzenia *Kakusa* gór szkockich wzbudziła do najwyższego stopnia ciekawość naszego bohatera; przezornie sobie jednak postępując w tej mierze, wywiedział się on pierwój, czy przewodnikowi swemu zaufać może. Upewniono go, że żadnego nie było niebezpieczeństwa; i że tylko pewnego dozna utrudzenia w drodze — gdy nadto Ewan Dhu oświadczył, iż z powrotem dzień jeden odpocznie w domu naczelnika, gdzie gościnnie przyjęty będzie, nie upatrywał już Edward w tej wyprawie nic straszego i niebezpiecznego — Zbladła wprawdzie Róża gdy się o tem dowiedziała;

atoli ojciec jej, nie chciał zrażać Edwarda wyliczaniem mniemanych niebezpieczeństw; owszem pochwalał tę skwapliwość młodzieńczego wieku, łaknącą nowości. Strzelec przydany do podróży, wziął na plecy torbę z żywnością i innymi potrzebami; zaczęł bohater nasz z dobrą myślą, i strzelbą w rękę puścić się śmiało w tę podróż w towarzystwie nowego przyjaciela Ewan Dhu, strzelca i dwóch dzikich góralów składających orszak Ewana Dhu, z których jeden miał na plecach siekiere z długim toporem, a drugi długą strzelbę. Na zapytanie Edwarda oświadczył Ewan Dhu: „iż ten zbrojny orszak nie towarzyszy mu dla zabezpieczenia jego osoby, ale dla tego“ rzekł, poprawiając sobie pled na ramionach „abyśmy się przecie przyzwoicie stawili na dworze Tully-Weolan, sprawując poselstwo, jak wypadało na mlęcznego brata Wich Jana Wohra. Ach! gdybyście *Saxon Duinhe Wassal* widzieli go w ten czas, kiedy się z ogonem pokaże.“

„Z ogonem?“ powtórzył Edward zdziwiony.

„Tak jest, z ogonem, czyli zwyczajnym orszakiem natenczas, kiedy równych sobie odwiedza. W takim razie, (mówił dalej zatrzymawszy się nieco dla przypomnienia sobie wszystkich dygnitarzów swojego władcy, których tytuły na palcach wyliczał) idzie najprzód *Hanchmann*, czyli

jego prawa ręka; dalej *Bhard* czyli poeta; dalej *Bladier*, to jest mówca, który wyręcza go w mówieniu, i wita wszystkich, których jego pan odwiedza; dalej *Gilly-more* czyli giermek, ten niesie jego tarczę, strzelbę i pałasz; dalej *Gilly-casflue*, który go na barkach swoich przez rzeki i błota przenosi; dalej *Gilly-comstrajne*, ten konia jego za uzdeczkę prowadzi po górzystej, ostrej drodze; następnie *Gilly-trusharnisch*, który jego torbę dzwiga, toż fajler i fajfra pomocnik; prócz tego jeszcze tuzin pachotków żadnej niesprawujących powinności, a którzy tylko do rycerskiej ozdoby służą lerdowi.“

„I wasz naczelnik ciągle tych wszystkich ludzi utrzymuje?“

„Wszystkich, mówisz Pan? jużci zapewne, i daleko więcej innych, którzyby nie wiedzieli gdzie przemocować mają, gdyby nie było wielkiej stodoły w *Glennaquoich*.“

Na tych i tym podobnych wieściach, sławiących okazałość naczelnika klanu bądź w wojnie, bądź w pokoju, zeszło im nie mało czasu na drodze; nakoniec zbliżyli się do wzniosłych gór, na które Edward dotąd zdala poglądał. Już zmiérzchać zaczęło się, gdy wkroczyli do jednego z tych ciasnych, okropnych wąwozów, co niziny z górną łączą Szkocyą. Ścieżka spadzista, ostra, nierówna, przerzynała ten jar między ogromnymi ścianami skalnymi, rozciągającemi się

do cieśniny, w ciągu wieków wydrążonej pędem rwistego strumienia. Kilka ukośnych promieni zachodzącego słońca dosięgając fali w ciemnym łożysku strumienia, sto ukazało skał, i sto wodospadów, rozrywających jego powierzchnię. Pochyłość od ścieżki do strumienia niezmiernie była spadzista; tu i owdzie sterczały to bryły granitu, to zdarte drzewa, których korzenie zawikłaną płataną w skalnych rozszerzały się zapadłościach. Po prawej stronie wznosiła się równie niedostępna skała; a z przeciwniej strony na samym wierchołku góry, widać było zarosł krzewistą z pośród której samotne wzbijały się jodły.

To cieśnina *Bally-Brough*! rzekł Ewan, „zdarzyło się raz w starym wieku, że na tém miejscu, dziesięciu górali z klanu *Donnochie* broniło się przeciw stu mężom z niziny. Mogiły poległych dzisiaj jeszcze widne na małym *Corri*, albo na tej tam płaszczynie po drugiej stronie wody, jeśli tylko potraficie dojrzyć owe zielone plamki pośród wrzosu na łące. Patrzcie, oto leci *Earn*; u was na południu zowie się on *Eagle* (orzeł), ale, takiego ptaka nie macie w Anglii. Leci on na podwieczórek do lerd *Bradwardine*; muszę go piérwój poczęstować moim śrótem.“

To mówiąc wypalił z strzelby; lecz chybił dumnego moczara napowietrznych krajin, który, nie zważając jakie mu groziło niebezpieczeństwo, wspaniałym lotem ciągnął

ku południowym stronom. Niezliczona moca drapieżnych ptaków — sokoły, jastrzębie, sępy i kruki wypłoszone hukami ognistej broni z gniazd, gdzie na nocleg już usiadły, wzbiwszy się w górę, swe przeraźliwe nieharmonijne krakania z echem i łoskotnym mieszały szumem potoków z gór spadających. Markotny Ewan, iż chcąc dać dowód szczególniejszej zręczności spudłował; dalej szedł pokrywając zawstyżenie swoje śpiewem narodowej zwrotki; ale pierwszej nabił strzelbę.

Przybyli nakoniec do wąskiej doliny między dwoma górami, zarosłemi gęstym wrzosem. Leśny strumyk był ich ciągłym przewodnikiem; postępowali w kierunku jego zakrętów, tu i ówdzie na drugą przeprawiając się stroną. Ewan Dhu, za każdą razą podawał rękę Edwardowi, chcąc go przeniść na plecach; lecz bohater nasz z młodu nauczony chodzić pieszo, nie chciał przyjmując tej usługi. Brodząc po pas w wodzie sprawiał lepsze o sobie mniemanie u Ewana; a nawet chciał go przekonać, że mylił się, obwołując za niewieściuchów mieszkanców nizin, szczególniej zaś samych Anglików.

Z wąwozu dostali się do zarosłej bagnistej i niezmiernie rozległej; tu przez gęste wyboje szli z trudnością, nawet i niebezpieczeństwem ścieżką, której śladów ledwie górale doyrzyć mogli. Ścieżka ta zajmująca część nieco twardszego gruntu, tu

i ówdzie zalanego wodą tak, że wędrowcy nasi brodzić musieli, była ostra, rozerwana, w wielu zaś miejscach natrzęsiona po wiérzchu tylko ziemią, i zawodna. Grunt grzeski nie wszędzie unosił człowieka; żeby się więc dostać z jednego punktu na drugi, skakać musieli. Złatwością to przychodziło góralom, mającym stosownie przyrządzone drewniane trzewiki z cienkimi podeszwami; wreszcie krok ich był daleko rączszy i poskoczny; ale Edward w skutku tego ruchu, zaczął większego, niżeli się spodziewał, doznawać utrudzenia. Przyswiewcała im jeszcze wśród tych *carbonskich błot* wątpliwa jasność zmiérzchu już w noc zapadającego; lecz i te słabe światło rozprószyło się, gdy przyszedli ku podnóżom stromej skały. Na tę wdrapać się nie łatwo było Wawerlejowi; zaszła noc pogodna, nie bardzo ciemna; wędrowiec nasz krzepiąc zwątlone siły energiczną wolą, dotrzymał przeciw krotki towarzyszym swoim w tej ostatniej przeprawie! Jednakże nie bez skrytej zazdrości patrzył on na góralów, którzy cwałując pietnaście mil ubiegli (tak sądził przynajmniej), bez żadnego utrudzenia.

Spuściwszy się z góry weszli do czarnego lasu, gdzie Ewan Dhu złożył krótką radę; w skutku téjże torba, którą niósł strzelec Edwarda, poruczona została jednemu z Gillies; strzelca zaś wyprowadzono z innym

górale w przeciwną stronę, na bok z drogi, której się dotąd trzymali. Edward chciał wiedzieć przyczynę tej zmiany — powiedział mu: „że plemiennik dolin zanocuje w wiosce zład o trzy mile odległej“ „Nie miłoby to było“ rzekł Ewan Dhu, „Donaldowi Bean Lean; bowiem u tego czczy godnego męża jest teraz zabrane bydło, jeśliby cudzoziemcy zbliżyli się do jego siedliska, dostępnego szczególniejszym tylko przyjaciołom.“ Rozumny zdał się ten powód; co też w części usmięrzyło bojaźń ściskającą serce Edwerda, że mu o takiej porze i w takim miejscu odjęto jedynego towarzysza z nizin. Następnie przydał Ewan Dhu: „lepiej nawet będzie, gdy sam na przód pójde uprzedzić Donalda, że przybędziecie; bowiem niespodziane ukazanie się *sider roy* (czerwonego żołnierza) może go przerazić.“ I wskok na przód ruszył, nie czekając odpowiedzi — wkrótce stracili go z przed oczu i Wawerlej i pozostali górale.

Edward był teraz niejako samemu sobie zostawiony; albowiem przewodnik jego zbrojny siekięra, mało co umiał po angielsku. Szli gęstym lasem sosnowym, który zdawał się nie mieć żadnych granic; naturalnie, że i ścieżki wśród ciemności nakoło rozpostartej rozoznać nie było można. Wszakże góral, jakby instynktem wiedziony, nigdy nie zbacział z toru, żadnej na-

wet wątpliwości nie okazując. Edward trzymał się go niemal za poły; a gdy już uszli spory kawał lasu, nie mogąc dłużej milczyć, zapytał się: „kiedyż skończy się ta droga?“

„Trzy, czy cztery mile mamy jeszcze do jaskini; ale jeśliście bardzo strudzeni, *Duinhé-wassal* (tak nazywał Wawerleja); toby Donald mógł, ba! co mówię mógł, toby powinien, to będzie musiał przystać *Curragh*.“

Curragh! pomyślił sobie Wawerlej, cóż to jest ten *Curragh*, czy człowiek, czy koń, czy kolaska, czy rydwan? Lecz nic nie pomogły zapytania; góral z siekięra, zawsze odpowiadał: „Tak! tak! *Curragh*.“

W krótce atoli zrozumiał Edward znaczenie tego słowa, gdy wyszedłszy z lasu ujrzał się nad brzegiem szerokiej rzeki, czy jeziora; przewodnik oznajmił mu, że się tu na chwilę zatrzymać muszą. Usiedli obadwa. Tylko co wznosząc się księżyc rozświecił, wśród nocnego mroku, ogromną powierzchnię wody, razem z otaczającemi ją nokoło *massami* bezkształtnych skał. Chłód przyjemnej letniej nocy rzeźwił zemdlonego Wawerleja; owiewający go wietrzyk tchnął wonią balsamicznych ziół i krzaków brzozowych, wieczorną zwilżonych rosą.

Jakże ślicznie mógł teraz dumać, jaką wzbijać się myślą w tém romantycznym położeniu! Zważmy tylko: zasiadł nad brze-

giem nieznanym wód, z dzikim gór mieszkańcem, który go miał w swęj władzy, którego mowy nie rozumiał. Znim ma się udać do jaskini człowieka gwałcącego społeczne ustawy, może drugiego *Robina-Hood* albo *Adama ó Gordon*, śród ciemnej nocy, mimo niebezpieczeństw i trudów, bez towarzysza, bez pomocy: ileż tu scen, ile przedmiotów oskrzydających romantyczną fantazyję, wzbudzoną uczuciem niebezpieczeństw, przygód! Z całością tych poetyckich widoków jedno tylko do miary nie przypadało, to jest: sam powód i cel zamierzonej wyprawy — krówy barona!! Co jednakże Wawerlej daleko zasunąć w głąbią sceny nie omieszkał.

Marzył cudnie Edward — w tém ocuca go góral lekkiem po ramieniu trąceniem: „O! tam jest jaskinia“ zawołał wskazując ręką wprost na drugą stronę jeziora. Rzeczywiście postrzegł Wawerlej ku tamtej stronie światelko z razu małe, migające tylko; potem nieco większe, wreszcie, co raz rzęsiściej jaśniejące blaskiem spaniałego meteoru nakrawędziach horyzontu — Gdy Edward, uważa ten fenomen, zdala rozbijało się pluskanie, szelest wiosel rozcinających fale. Odgłos ten podzielony na miary, co raz zbliżał się; w tymże kierunku słyszyć się dało ostre gwizdanie. Góral towarzysz Edwarda, jakby na umówione hasło głośniejszém jeszcze odpowiedział gwizdaniem; za kilka minut krypa z czterema czy pięcioma góralami przy-

biła do małej zatoki, na której brzegu siedział Wawerlej. Poszedł on ku niej razem z góralem; wówczas dwaj silni wioślarze zanieśli go na rękę, i posadzili w statku, który z tą samą chyżością wprost ku drugiej stronie jeziora popłynął.



ROZDZIAŁ IV.

Kryjówka szkockiego rozbójnika.

Wszyscy milczeli; sam tylko sternik prze-
rywał tę ciszę melodyą gaelickiej pieśni,
której miara zdawała się uderzeniami wio-
seł kierować. Światło do którego zmie-
rzała krypa ukazało się teraz w żywszym,
czerwienzym i bardziej nieregularnym
blasku. Nie trudno rozpoznać, że to był
wielki ogień; ale czy się palił na wy-
spie, czy na stałym lądzie, tego jeszcze
Edward rozróżnić nie mógł. Ten krąg
czerwonym jaśniejący płomieniem na po-
wierzchni jeziora osadzony, zdawał się
być nakształt rydwanu ognistego, w którym
wedle wschodniej baśni, zły duch prze-
biega lądy i morza. Przyplłynęli bliżej —
teraz dopiero postrzegł Edward, że ów
ogień rozniecono u stóp wysokiej skały,
która nad samym brzegiem jeziora pio-
nowo się wznosiła; jedna jej ściana w od-
biciu krwawej posępnej łuny, rażące sta-
wiała przeciwieństwo z wybrzeżem jezio-

ra, które miejscami kiedy niekiedy blade
rozjaśniały promienie księżyca.

Statek przyplłynął do zatoki; wspomnio-
ny ogień, jak z bliska widzieć było mo-
żna, palił się w otworze jaskini skalnej
po części zanurzonej w jeziorze. Zasilali
go suchemi konarami jodłowemi dwaj gó-
rale, od blasku czerwonych płomieni,
dwóm djabłom podobni. Domyślił się Ed-
ward, co potem przyznano, że ów ogień
służył zamiast latarni, dla powracających
przewoźników. Ci skierowawszy krypę
prosto ku paszczy jaskini, podnieśli
w górę wiosła, dopuszczając statkowi pły-
nąć do kresu chyżością nabytego popędu.
Krypa minęła wysoką skałę, na którym
ogień był rozniecony; upłynawszy nastę-
pnie przestrzeń dwukrotnej długości sta-
tku, przybiła dopunkt, z kąd kilka po-
tężnych mass kamiennych, z głębi wody i
po nad tejsze powierzchnią, obszerną za-
sklepiąły grotę. Odłamy skalne jedne od
drugich regularnemi przedzielone odstę-
pami, zdawały się być schodami udziała-
nemi w tém miejscu przez samo przyro-
dzenie. W tejsze chwili wylano ogromną
massę wody na ogień, który śród kłębow
dymu sycząc i trzeszcząc, zagął. Dwaj
silni górale, wysadzili Wawerleja z krypy,
i zaprowadzili, a razej zanieśli na rękę
w głąb grotty. Kilka kroków uszedł po
ciemku; głosy ludzkie odbijały się ze

środką jaskini; w tём skręcili na bok, i nagle, jakby pojawienie, sam Donald Bean Lean ukazał się Wawerlejowi w swym nadwodnym gmachu.

Wewnątrz grotty, tu bardzo wysokięj, roztaczały smolne łuczyna jasność wzrok rozbijający, razem z dymem, który tęgą ale przyjemną wonię wydawał. Blask ten pomnażały czerwone płomienie węgli drzewnych, żarzących się na obszernym kominie, w około którego siedziało pięciu czy sześciu górali — opodal w większej jeszcze liczbie spoczywali na rozpostartych pledach. W poboczném wydrążeniu, które rozbójnik żartobliwie nazywał swoim *spence*, czyli spiżarnią, wisały tylnemi nogami przytwierdzone do poprzecznej belki, owca, jagnię i dwie krowy świeżo zabite. Główna osoba w tём osobliwszém mieszkaniu, Donald postąpił kilka kroków naprzód w towarzystwie mistrza obrzędów Ewana Dhu dla powitania gościa. Rzemiosło, które ten człowiek sprawował, dzikie ustronie, gdzie przesiadywał, wreszcie marsowe otaczające go postacie — wszystko co tylko postrach wzniecić może, wszystko to, kazało się domyślać Edwardowi, że ujrzy przed sobą mężczyznę olbrzymiego wzrostu, z pochmurném wejrzaniem, krótko mówiąc, taką postać, jakaby Salwatorowi posłużyć mogła za wzór do omalowania herszta rozbójników.

Atoli Donald Bean Lean, we wszystkiém różnił się od tego obrazu! — Postawa jego była zemdlona, wzrost niski, włosy jasnoczerwonaawe, twarz wychudła, blada, od czego nawet otrzymał przydomek *Bean* czyli *białego*; a lubo dość szykownego, zgrabnego ułożenia, rzeński i zwinnie, z tём wszystkiém przeciwieństwem był szczupły, mały. Służył on kiedyś w wojsku francuzkiém w stopniu podoficera; chcąc tedy najokazaliej przyjąć Anglika, przywdział na ten raz nie narodowy góralski ubiór, ale stary niebieski mundur z czerwonymi wyłogami, a na głowę stósowany zasadził kapelusz. Strój ten tak źle do miary przypadłał ze wszystkiém co go otaczało, a jemu samemu tak dalece nie był do twarzy; że Wawerlej byłby się na głos rozśmiał, gdyby tylko śmiać się w tём miejscu grzeczność i bespieczeństwo dopuszczają. Donald powitał Wawerleja przebiegającą miarę francuzką grzecznością, i zarazem wszelkiemi okazami szczeręj szkockięj gościnnosci; zdawał się on znać dokładnie jego nazwisko i stósunki, a szczeręj polityczne zasady jego stryja Sir Ewerarda, które pochwalał; Wawerlej odpowiedział mu wyrazami ogólnemi, zastosowanemi do osób i miejsca.

Usiadłszy opodal od trzonu, którego temperatura, jak na owę porę, zbyt wysoką była, postrzegł nasz bohater otyłą

góralkę. Dama szkocka postawiła przed nim, przed Donaldem i Ewanem trzy *coques*, to jest drewniane kubki, zawierające w sobie tak zwany *Imrigh* czyli gatunek bulionu, wyrabianego z pewnych tylko części wołowego mięsa. Po tej pierwszej potrawie, choć pospolitej ale dość smacznej, osobliwie dla zgłodniałych wędrowców, dano na węglach pieczony *beefsteaks* w obfitj ilości, która jednak na talérzach Ewana i Donalda, jakby zaczarowanych, z nadzwyczajną prędkością nie wiedzieć gdzie się podziwiała! Zdumiony Edward nie mógł pogodzić ich żarłocznego apetytu z ową szeroko rozstawioną wstrzemięźliwością góralów. Znać nie wiedział, że przyczyną wstrzemięźliwości u niższej klasy ludu najczęściej jest niedostatek; że górale szkoccy za zdarzoną sposobnością nadmiarem nawet wetować umieją głód doznany w braku pożywienia. Ostatek biesiady *wiski* (wódka) uwieczono. Górale pili wiele, nie przydając wody; Edward skosztowawszy tego napoju rozcieńczonego odrobiną wody, nie chciał już następnego spełnić toastu. Gospodarz ubolewał, że go nie mógł winem poczęstować. „Żeby mnie kto uprzedził na dwadzieścia cztery godzin, byłbym dostał wina, choćby mi go przyszło szukać w obrębie czterdziestu mil. Ale dla okazania radości swojej zacnemu gościowi, każdy

szlachcic tém tylko służyć może, co ma najlepszego w domu. Gdzie nie rośnie leśzczyna, tam nie masz orzechów; stósujcież się Panie do obyczajów ludzi, z którymi radzi przestajecie.“

Następnie obróciwszy się do Ewana Dhu, ubolewał z nim razem nad zgonem starca *Donnacha an Amrigh*, czyli zakapturzonego Dunkana, natchnionego wieszczą który z daru bożego, z użyczenia nieba naprzód przepowiadał wszystkich, którzy nawiedzali szkockie góry, bądź krajowców, bądź obcych, przyjaciół, lub wrogów.

„A syn jego Malcolm?“ zapytał się Ewan, „nie jest to także *Taishatr* (wieszczem?)“

„Oh! nie zrówna on nigdy swemu rodzi-
cowi!“ odpowiedział Donald. „Niedawno rzekł do nas, że przyjedzie znakomity Pan na koniu, a jednak przez cały dzień i *Żywj duszy* (*) nie widzieliśmy, prócz ślepego śpiewaka Shemus Beg i jego psa. Inną razą zapowiedział weselne gody! Cóżżeśmy spotkali? Pogrzeb! — Wróżył w *Creagh* (wycieczka na rabunek) że przyprawdzimy sto sztuk bydła. Cóżżeśmy schwycili? Opasłego ekonoma z Perth!“

Z téj rozmowy przypadła kolj na poli-

(*) Tak jest w oryginale.

tykę i stan wojska; zdziwił się Wawerlej, a nawet zatrwożył, że taki człowiek jak Donald tak dokładnie mógł znać siłę rozmaitych garnizonów i pułków w północnych okolicach Taj. Wiedział także najdokładniej: ilu ludzi zaciągnięto do pułku Wawerleja z dóbr jego stryja — „Walne, piękne chłopcy“ przydał, rozumiejąc przez to silnych i bitnych. Następnie przypomniał Wawerleji kilka jego samego dotyczących szczegółów; co okazywało, że rozbójnik naocznym był świadkiem wielu zdarzeń zasłanych w pułku dragonów. Gdy Ewan Dhu odszedł na stronę, i obwinąwszy się w pled usnął, natenczas rzekł Donald do Edwarda z przyciskiem: „co was tu do mnie sprowadziło?“

Wawerlej zmieszany, niemal przerażony takim zagadnieniem, odpowiedział: że jedynie chęć odwiedzenia jego szczególnej grotty, przywiodła go w te strony. Donald utkwiał w niego wzrok ostry przenikliwy; po chwili zaś rzekł z wiele znaczącym potrząśnięciem głowy: „Moglibyście położyć ufność we mnie; równie ja tego godzien jestem jak Baron Bradwardine, i Vich-Jan-Vor; lecz to mniejsza; niemniej przeto rad wam jestem w moim domu.“

Dreszcz przeniknął Edwarda od tych tajemniczych wyrazów bandyty, wywołająca; przejęty zgrozą, nie śmiał nawet badać

go, jakie zamykały rozumienie? Przyrzędzono dla niego w zakęcie grotty łoże wyściełane zakwitłym wrzosem; spoczął na niem, i okrywszy się pledami, przez czas niejaki uważał poruszenia mieszkańców grotty. Małe grupy to z dwóch to trzech ludzi złożone przychodziły i wychodziły bez żadnego porządku, szeptając do ucha Donaldowi gaelickimi słowami — gdy usnął Donald zdawały sprawę przed zastępującym go wysmukłym górale. Wchodzący do jaskini, musieli zapewne wracać z jakiejś wyprawy; albowiem z sobą przynosili zboż. Następnie wszedłszy do spiżarni, każdy część dla siebie przypadającą odcinał nożem, piekł na ogniu, i chciwie pożywał. Wódka nie zostawała pod dowolnym ich zarządkiem; udzielał jej albo sam Donald, albo w tej sprawie wyręczała go pomieniona otyła dziewica; prócz niej żadnej innej kobiety nie było w jaskini. Rozdawane porcy *whisky* aż nadto byłyby dostateczne dla wszystkich innych ludzi, ale nie dla górali, którzy daleko więcej pić mogli bez uszczerbku zdrowia i zawrotu głowy — skutek ustawicznego zostawania pod gołym niebem i wilgotnego klimatu.

Powoli zaczęły się mienić i rozptywać te ruchome grupy w oczach usypiającego Edwarda. Nazajutrz obudził się, gdy słoń-

ce wysoko stało nad jeziorem, aczkolwiek jasność dzienna nie zawitała jeszcze w zakąty i kryjówki *Uaimh an Ri*, czyli królewskiej grotty, jak ją dumnie nazywał Donald-Bean-Lean.



ROZDZIAŁ V.

Wawerlej puszcza się w dalszą drogę.

Edward przetarł oczy, i z zadziwieniem postrzegł, że w jaskini żywego ducha nie było. Wstał — poprawił na sobie ubiór, i pilniejsz obejrzał się wokoło; wszędy atoli głucho panowało milczenie. Gdyby nie gasnące ostatki głowien w szarym popiele, gdyby nie resztki sutego bankietu, to jest pół osmalone, a w połowie poogryzane kości i dwie czy trzy próżne baryłki — i ślad byłby nie pozostał Donalda i jego towarzyszy. Postąpiwszy dalej ku otworowi jaskini przekonał się Wawerlej, że na odłam skały, gdzie przeszłej nocy rozłożono ogień, dostać się było można wąską ścieżką, którą bądź natura, bądź sztuka w twardej opoce wykuła. Ścieżka ta ciągnęła się wzdłuż małej zatoki, na kilka jardów wewnątrz grotty wchodzącej; tu właśnie stała krypa na kotwicy, którą z góralami przyplynał. Teraz znajdował się Edward na wyskoku skały; lecz ztamtąd żadną miarą nie mógłby zejść na dół, gdy-

by byli mieszkańcy grotty innego, a nie przez wodę, obmyśliłi wychodu. I rzeczywiście, postrzegł Wawerlej trzy czy cztery strome wchody, a raczej pokłady skalne, na samym wierzchołku małego wysokoku; temi wschodami wdarł się na szczyt skały, z pod której wychodziła grotta. Następnie, nie bez wielkiej trudności, spuściwszy się na dół drugą stroną, stanął na brzegu jeziora, rozciągającego się na kilka mil, wśród wysokich gór zarosłych wrzosem, na których wierzchołkach ranna się mgła rozpościęrała.

Spójrzął na miejsce zkąd zeszedł, i nie mógł się dostatecznie wydziwić zręczności mieszkańców tego samotnego ustronia — Skała, którą obszedł po zazębieniach ledwo na jedną stopę szerokich, wydawała się nakształt ogromnej ściany prostopadłej, zamykającej drogę do jeziora w tym kierunku. Niemniej trudno było, dla szerokości jeziora, dojrzyć z tamtego brzegu otworu do głębokiej jaskini prowadzącego. Przetoż ludzie tu mieszkający, bezpiecznie ukrywać się mogli, póki starczyło żywności; od jeziora tylko otwartym napadem zagrożeni, niczego prócz zdrady lękać się nie mieli. Wawerlej zaspokoivszy ciekawość swoją, upatrywał na wszystkie strony Ewana Dhu; jakkolwiek potrzeba wyciągnęła z grotty Donalda, którego rzemiosło na ustawnych zasadzało się wy-

cieczkach; to przecież Ewan(tak przynajmniej rozumiał), nie mógł się bardzo oddalić od tego miejsca. Iakoż wistocie postrzegł w odległości pół mili górala, łowiącego wędką ryby w jeziorze z drugim góralem. Tamten zdawał się być podobny do Ewana; ten zaś do przewodnika z siekięra.

Od strony otworu grotty zabrzmiał dźwięk wesołej gaelickiej piosnki. Poszedł Edward za dźwiękiem, i na pochytej piaszczystej płaszczynie, ocienionej w części gałęziami rozłożystej brzozy, postrzegł dziewczynę, zajętą przyrządzaniem śniadania z jaj, mleka, chleba jęczmiennego, świeżego masła i miodu. Tego ranku blisko cztery mil ubiegła w okolicy, szukając maki na placki, i innych tego rodzaju przysmaków, które wyprosić, lub pozyszczyć od mieszkańców pobliskich chat musiała. Towarzysze Donalda Bean Lean zazwyczaj jedli tylko mięso krów i wołów sprowadzonych z dolnego kraju; chleb nawet uważano w tém dzikiem ustroniu, jako wytworny kasek, gdyż bardzo trudno było go dostać; o innych zaś milszych domowego gospodarstwa posiłkach, jako to: o mleku, drobiu, masle, i t. d. i pomyśleć nie godziło się w tej scytyjskiej okolicy.

Winiem uprzedzić czytelnika, że chociaż Alexya część poranku strawiła na przyrządzeniu śniadania gościowi, wsze-

Iako nie zapomiała przybrać swojej osoby w najlepsze jakie tylko miała suknie. Strój jej nie był wykwinny; składał się z krótkiego szarawego gorsetu, i kuszej spódnicy; wszystko przecieź było zgrabnie i i starannie zrobione. Kawał czerwonego, w różne wzory wyrabianego płócienka zwanego *snod*, osłaniał po części jej włosy, które długimi, ciemnymi splotami na ramiona spadały. Odrzuciła szkarłatowy *pled*, żeby jej nie zawadzał w usługnej dla gościa skrętności. Pomiąłbym atoli najświetniejszą ozdobę toalety Alexyi, gdybym o złotych kulczykach, i o złotym nie wspomniął Różańcu, które jej ojciec (była bowiem córką Donalda Bean Lean) przywiózł z Francyi, gdzie je zapewne znalazł na pobojojowisku, albo zdobył rabunkiem.

Alexyja jak na lata swoje, zbyt może wyrosła; zresztą jednak kształt jej był udatny, kibić wysmukła, a w całym poruszeniu malował się wdzięk wiejskiej prostoty, całę różny od owej nieśmiałości, która pospolite cechuje wieśniaczki. Uśmiechające się usta, osłaniały rząd białych jak śnieg zębów; a wesołe spójrzenie, którym w braku angielskich wyrazów, ranne pozdrowienie posłała Wawerlejowi, możeby kazało się dorozumiewać nie jednemu zalotnemu fireykowi, wreszcie każdemu młodemu paniczowi, mającemu o-

mylne, a wysokie o swojej urodzie mniemanie, iż coś więcej znaczy nad prosty okaz grzeczności uprzejmej gospodyni. I ja też nie ręczę, czyby ta sama młoda, dzika góralka, tak wdzięcznie była przyjęta podeszłego jegomości, naprzykład Barona Bradwardine, jak teraz Wawerleja! Cóżkolwiekby, zaprosiła ona naszego bohatera na placki i jagody w pobliskiej zbierane trzęsawicy. A postrzegłszy, że jadtł z apetytem śniadanie, usiadła skromnie na kamieniu, uważając zdala na każde poruszenie Edwarda, czy czego nie będzie potrzebował.

Ewan i jego towarzysz wracali brzegiem jeziora; ostatni niósł wielkiego łososa, tego poranku ułowionego i wędkę; Ewan zaś szedł poważnie ku miejscu, gdzie Wawerlej jadtł śniadanie.

Po wzajemnym powitaniu, Ewan rzuciwszy okiem na Wawerleja, rzekł gaelickim dyalektem kilka słów do Alexyi, które ją do śmiechu pobudziły, lecz zarazem rozpostarły po same oczy żywy rumieniec na jej twarzy i tak od słońca i powietrza opalonęj. Za pomocą hubki zalotnej na panewce od pistoletu, rozdmuchano w okamgnieniu trzeszczący ogień z suchych gałęzi, które w kilka minut zamienione na węgle i popiół, do upieczenia łososa posłużyły. Na okrasę uczyły, wyjął Ewan z kieszeni swojego żupana sporą czaszę

muszlową, a z pod fałdów pleda koźli róg, napełniony *whiskiem*. Z tego rogu pociągnął porządny łyk, wspomniawszy *in morning* czyli haust ranny z Donaldem Bean Lean już był wychylił; potem ofiarował posiłek ten na wzmacnienie serca i ducha, Alexyi i Wawerlejowi; lecz gdy oboje przyjąć nie chcieli, nastroił nunię Ierda, i z powagą oddał muszlę Dugaldowi Mahony swojemu towarzyszowi, który nie czekając na powtórne wezwanie, z upodobaniem od jednego razu wzystko wypił. Ewan przyrzadziwszy tódż, wezwał Wawerleja aby w nią wstąpił. Tymczasem, Alexyja zebrała w mały koszyk to wszystko, co godne było zachowania do dalszego użytku, zarzuciła na ramiona pled, i biorąc Edwarda za rękę, nadstawiła twarz swoją do pocałowania. Takie było jej pożegnanie! — Ewan stynący między pięknościami tych gór dziewicami zstrojenia zalot i koperczaków, pobiegł czémprędziej do Alexyi dla uzyskania podobnego względu; ta atoli porwawszy koszyk, uciekła w góry jak rączka sarna, potem obróciła się, rozśmiała na głos, i rzekła kilka słów gaelickich, na które Ewan tym samym tonem i językiem odpowiedział; nareszcie znów wyciągnioną ręką dała znak Edwardowi, i dalej pośpieszając, wkrótce zniknęła z oczów w gęstwę krzaków; lubo długi jeszcze przeciąg czasu dochodziła

słuchu Edwarda wesoła piosnka, którą Alexyja na samotnej nuciła drodze.

Nasi wędrowcy weszli napowrót do otworu jaskini, w celu zejścia do krypy. Silny jeden góral odepchnął ją od ładu, i korzystając z rannego wiatru, rozpostarł niekształtny żagiel, a tymczasem Ewan wziął się do rudla i nadał krypie kierunek, jak się zdawało Wawerlejowi, bardziej ku północnej części jeziora, niżeli z owej strony, którą przeszłej nocy przypłynęli do groty. Gdy się czółno przesunęło po kryształowej powierzchni wód, Ewan rozpoczął rozmowę panegirykiem Alexyi, która, jak mówił, nie tylko była rostopna i mądra, ale nadto w całej okolicy najlepiej tańcowała krajowego tańca. Edward przyznawał te zalety, o ile ich sam był świadomy, przy czém ubolewał mocno, iż skazaną jest na życie tak smutne i niebezpieczne.

„Oho! co się tyczy tego.“ rzekł Ewan, „to mogę was zapewnić, że w całym Perthshire niema nic takiego, czegoby swoją prozbą od ojca nie wskurafa; chybaby ta rzecz była bardzo gorąca, albo bardzo ciężka.“

„Ależ być córką człowieka, którego rzemiosłem jest wprowadzać ludziom bydło — córką pospolitego złodzieja!“

„Pospolitego złodzieja! — co na to, to się nie zgadzam; Donald Bean Lean przez

całe życie swoje nic nigdy mniejszego od trzody nie ukradł.“

„Więc on u was nie jest zwyczajnym złodziejem?“

„Pewnie że nie — ten jest złodziejem, kto biednej wdowie krowę ukradnie, albo ubogiemu człowiekowi wołu; ale kto *Sassenach Lairdowi* (angielskiemu szlachcicowi) trzodę uprowadzi, ten jest znakomitym posiadaczem krow i wołów. Drzewo wyciąć wlesie, łosia złowić wrzecie, zwierze w górach, krowę uprowadzić z niziny — tego żaden góral nie poczytuje sobie za srom i nieprawość.“

„Ale jakiż będzie jego koniec, gdy się da schwytać na gorącym uczynku?“

„Zapewne przez wzgląd na prawo umrze, jak to już nie jednemu walecznemu mężowi się przydarzyło.“

„Przez wzgląd na prawo umrze?“

„Tak jest, przez wzgląd na prawo i według prawa, wisiąłby na pięknej szubienicy w *Crieff*, na której wisiął jego ojciec, jego dziadek, i na której on także będzie wisiął, jak się spodziewam, jeśli nie polegnie w *Creagh*.“

„Więc wy takiej śmierci życzyście waszemu przyjacielowi, Ewanie?“

„J czemuż nie; mamże mu życzyć aby zdechł na zgniłym barłogu jak parszwy pies?“

„A cóż się potem stanie z Alexyją?“

„W przypadku tak nieszczęśliwym, gdyby ojciec już jej nie potrzebował, nie wiem coby mi przeszkadzało ożenić się z Alexyją.“

„Dobra myśl“ rzekł Edward, „ale nim Donald dostąpi tego szczęścia, i za pośrednictwem szubienicy stanie się waszym teściem, powiedźcie mi, co on zrobił z krowami barona?“

„O! jeszcze słońce nie podniosło się na *Bean Lawers*, a już wasz strzelec z Allaniem Kennedy naprzód popędzili krowy — tylko dwóch sztuk nie dostaje, które na nieszczęście już były zarzniete, gdym w nocy przybył do *Uaimb an Ri* (*); w tej chwili muszą się zapewne przeprowiać przez wąwóz *Bally-Brough* do zwierzyńca *Tully-Weolańskiego*.“

„A gdzież my to idziemy Ewanie, jeśli zapytać się wolno?“

„A gdzieżindziej miałbym was prowadzić, jeżeli nie do dworu *Lairda* *Glennaquoich*? Rozumiem, iż w waszej głowie ani powstała ta myśl, abyście przybywszy do tego kraju nie mieli nawiedzić naszego naczelnika? toć przecie tyle warte, co całe życie człowieka.“

„A daleko jeszcze do *Glennaquoich*?“

„Jeszcze tylko pięć milek, lecz *Vich-Jan-Vohr* powinien wyjść na nasze spotkanie.“

(*) Jaskinia królewska.

Łódź dopłynęła za pół godziny do północnego brzegu jeziora, gdzie gorale wynieśli Edwarda na ląd, a krypę ukryli w sitowiu i trzcinie. Wiosła zostały także złożone w gęstej zarośli; przy czem nie zaniedbano oznaczyć miejsca ukrycia, aby krypa służyć mogła ku użytkowi Donalda Bean Lean, gdyby jaki zamiar przywiódł go w tę okolicę.

Niejaki czas szli nasi podróżni rokoszną doliną między dwoma rzędami wysokich gór; pośrodku płynął mały strumyk ku jeziorowi. Wawrzej począł znowu badać Ewana o rozmaite szczegóły tyczące się gospodarza groty.

„Czy on ciągle mieszka w tej jaskini?“

„Bynajmniej! Ale chciej wyliczyć wszystkie miejsca, gdzieby go szukać należało, to nad rozum człowieczy! w całym kraju nie masz ani jednego ciemnego lochu, ani jednej jaskini, ani jednej kryjówki podziemnej, żeby on jej na skrós nie znał.“

„Czyż i inni mu pomagają, prócz waszego pana?“

„*Mojego Pana?* — Mój Pan jest na niebiosach“ dumnie odpowiedział Ewan; wracając atoli do właściwej sobie uprzejmości, rzekł: „chcieliście zapewne mówić o głowie naszego rodu — Nie, tego opieka nie rozciąga się ani na Donalda Bean Lean, ani też na nikogo innego jemu równego; nie

wzbrania on mu tylko“ dodał z uśmiechem „drzewa i wody.“

„Tedy zdaniem mojem, nie wielkie dobrodziejstwo wyświadcza Donaldowi, gdyż drzewa i wody wszędzie dostatek.“

„Ach! nie pojmujecie mnie. Kiedy mówię drzewa i wody, to przezto rozumiem morze i ląd; żeby było z Donaldem, gdyby lerd na czele swego Klanu poszedł go nawiedzić do lasu Kailichas, lub też gdyby dziesięciu albo dwudziestu ludzi na czołnach popłynęło do *Uaimh an Ri*, z takim przewodnikiem, jak ja, albo inny człowiek odważnego serca.“

„A gdyby z nizin liczne wojsko przeciw Donaldowi wyciągnęło, czyby go naten czas bronił wasz przełożony?“

„Jeśli tylko przyjdą z rozkazu prawa, ręczę i ziarnka prochu dla niego nie spali.“

„Jakżeby w takim razie Donald sobie poradził?“

„Musiałby dobrowolnie ten kraj opuścić i szukać schronienia tam, za górami w *Letter-Scriven*.“

„A gdyby go i tam ścigano?“

„Toby zapewne uciekł do *Rannoch*, gdzie jego krewni mieszkają.“

„Dobrze, ale gdyby go i w *Rannoch* szukano?“

„To“ zawołał Ewan „nigdy być nie może; żaden mieszkaniec nizin z całej Szkocyi nie odważy się pomknąć w odle-

głośność jednego strzału po za wawóz Bally-Brough, jeśli nie będzie miał z sobą *Sidier-Dhu*.“

„Cóż to za jedni?“

„*Sidier-Dhu* są to czarni żołnierze, czyli rotę ochotników, utrzymywane w górnym kraju dla zachowania porządku i pokoju. Jedną taką rotą dowodził Vich-Jan-Vohr całe pięć lat; ja sam byłem pod nim sierżantem, więc śmiało o tém mówić mogę. Nazywają się *Sidier-Dhu* dla tego, że mają tartany, tak samo jak słudzy Króla Grzegorza zowią się *Sidier-Roj*, albo czerwoni żołnierze.“

„Dobrze, Ewanie, pókiś zostawał na żołdzie Króla Jerzego, byłeś także żołnierzem królewskim?“

„Tak, oto pytajcie się Vich-Jana-Vohra; my służyliśmy jego królowi, nie wchodząc, jak oni to tam po swojemu rozumieją. Żadną jednak miarą nikt rzec nie może, żeśmy teraz żołnierzami Króla Jerzego, bo już od dwunastu miesięcy nie bierzemy żołdu.“

Na ten argument zabrakło odpowiedzi Wawerlejowi; starał się zatem znowu nakreślić rozmowę na Donalda Bean Lean. „Czy Donald Bean Lean kontentuje się tylko uprowadzaniem bydła, czy też i innemi nie gardzi rzeczami, jeśli mu takowe wpadną w ręce?“

„Chowaj Boże! nie jest on taki skrypulat; rad zabięra co tylko się zdarzy, ale najlepiej lubi bydło, konie, i chrześcijan; gdyż owce trudno przeganiać z miejsca na miejsce, a z domowym sprzętem powoli wlec się trzeba; wreszcie domowe graty ciężko spieniężyć w tym kraju.“

„Jako więc porywa, i mężę i kobiety?“

„A czemuż nie? Czyżście nie słyszeli, co wczoraj mówił o ekonomie z Perth? Nieborak musiał pięćset grzywien zapłacić, nim się dostał na drugą stronę Bally-Brough. Muszę też wam rozpowiedzieć jak się jednego razu Donald gracko spisał — Miał się odbyć w zamku Mearus wesele Lady Kramseez wdowy po starym Ierdzie, i młodego Gilliewackit, który przehułał cały swój majątek, o tak jak przystało na szlachcica, to na zakłady w potyczkach kogutów, byków, to na wysięgi konne i t. d. Skoro Donald Bean Lean zmiarkował, że narzeczony zawojował babę, będąc pewny, że nie mała nałapie grosza, porwał go w ciemnej nocy, gdy dobrze podchmielony wracał do domu; i z pomocą swojej czeladki jak błyskawica uszedł z nim w góry: nazajutrz obudził się młody Gilliewackit w jaskini *Uaimh an Ri*. Wnet uwiadomiono Lady, żeby wykupiła narzeczonego — Donald żądał tylko tysiąc funtów.“

„Tysiąc funtów.“

„Tysiąc funtów, ale szkockich funtów;

a tu Lady, nie miała na razie tyle pieniędzy choćby i suknię weselną zastawić; udała się więc dokommandanta twierdzy Stirling i do majora straży goralskiej, *Black Watch* czyli czarnej straży. Kommandant powiedział, że zadaleka droga na północ, i że to już było za granicą jego obwodu; major zaś zbył ją tém, iż ludzie jego po rozchodzili się do domów na żniwa, a zwołać ich nie miał, póki żywność nie będzie sprowadzona, choćby mu przyszło poświęcić wszystkie Kramfeczery całego chrześcijaństwa, nie dopiero jednego Kramfeczera z Mearns, dla pożytku dobra powszechnego. Tym czasem, któż to mógł przewidzieć! Gilliewackit dostaje ospy. I w Perth i w Stirling nie było ani jednego lekarza, coby chciał odwiedzić chorego; gdyż Donald pod czas pobytu swego w Paryżu nielitościwie traktowany przez jednego z tych panów doktorów, poprzysiągł był, iż którego tylko lekarza złapie na drugiej stronie wąwozu, niezawodnie w jezioro wrzucić rozkaże. Szczęściem kilka bab (*Cailliachs*) znajomych Donaldu, tak starannie opatrywały Gilliewackita, że on na wolnym powietrzu w jaskini pijąc tylko świeżą serwatkę, przyszedł do zupełnego zdrowia; i lepiej nawet wyglądał, niżeli za owych czasów, kiedy mieszkał w izbie z oknami i sypiał na łóżku osłoniętym firankami; kiedy czerwone pił wino, i biały smaczny chleb zajadał.

Ale Donaldowi tak się uprzykrzyła ta choroba, że Gilliewackita bez okupu puścił do domu, powiadając jemu; iż taką przyjmie nagrodę, jaką mu sam przysła w dopłacie troskliwych starań około jego zdrowia. Nie mogę z pewnością wam powiedzieć, jak się tam między nimi skończyło; to tylko wiem, iż od owego czasu byli sobie bardzo dobrymi przyjaciółmi, tak dalece; że Donald zaproszony został na wesele do Mearns, i w góralskim tańcował ubiorze, a wszyscy mówili, iż nigdy jeszcze ani przedtem, ani potem tyle pieniędzy w jego kieszeni nie brząkało. Co więcćj, oświadczył Gilliewackit, że gdyby przypadkiem Donald miał się dostać pod sąd jego, uniewinniłby go w każdym razie, choćby nawet dowody jak słońce jasne były, że popełnił zabójstwo.“

Tą gadatliwością obznajamiał Ewan Edwarda z ówczesnym stanem wyższej Szkocyi. Gdy uszli ogromną przestrzeń przez góry, doliny, wąwozy i lasy, zdawało się naszemu wędrowcowi, że dwa razy przebył ową pięć-milową odległość Ewana; nie była mu całkiem obca szkocka szczodroblwość w obliczaniu miejsc przestrzeni, rzekł więc: „mocno mnie to dziwi że Szkoci tak wielkie mają mile w stosunku małej wartości monet swoich.“

„Niechaj djabeł porwie tych co najmniejszą miarką częstują“ odpowiedział Ewan

słowami dawniej żartobliwej przypowieści narodowej.

W tej chwili usłyszeli wystrzał z strzelby; niedługo potem z północnej strony doliny wyszedł strzelec z psami i służącym.

„Patrzcie“ rzekł Dugald Mahony, „O to głowa klanu.“

„To nie on“ rzekł dumnie Ewan. „Czyż myślisz, żeby takim manowcem wyszedł na spotkanie *Sassenacha Duinhé Wassal* (szlachcica, angielskiego)?“

Uszedłszy kilka atoli kroków rzekł mądrze: „a wszakże to on, lecz z tyłu nie ma ogona, jeden tylko z nim Callum Beg.“

Wrzeczy samój, nie chciał Fergus MacIwor, o którym tak jako każdym innym Szkocie słusznie mógłby powiedzieć Francuz „*qu'il connoit très bien ses gens*“ stawić się pierwszy raz młodemu znakomitemu Anglikowi z orszakiem próżniaków. Wiedział on dobrze, iżby taki poczet raczej do śmiechu pobudził Edwarda, niżeli jemu samemu przydał powagi; a że wyobrażenia feudalnego zwierzchnictwa z szczerą swoją wytrawiały się istoty; przetoż wtemczas tylko ukazywał się z zgodzami władzy swojej, kiedy tego potrzeba wymagała, żeby na innych trwających jeszcze w tem uprzedzeniu zamierzone sprawić wrażenie. Gdyby był wyszedł na spotkanie innego naczelnika klanu, nie byłby zaniedbał wystąpić z orszakiem, który tak wymownie Ewan opisy-

wał; tą razą atoli przeciwnie rozumiał, iż sprawi o sobie lepsze u Wawerleja mniemanie, gdy go powita na drodze z jednym tylko towarzyszem, hożym, młodym góralem, który niósł za nim torbę myśliwską i szeroki pałasz.

Gdy się zbliżyli ku sobie, wprawiła Wawerleja w zadumienie dostojna, szykowna postać Fergusa. Udatny jego kształt, więcej niż mierny wzrost, strój narodowy mile w oko wpadały. Spodnie miał z tartanu w czerwone i białe paski; zresztą tak był ubrany jak Ewan, z tą jednak różnicą, iż żadnej innej nie nosił broni prócz sztyletu bogato w srebro oprawnego. Paź Fergusa, jako się wyżej rzekło, niósł pałasz i strzelbę myśliwską. Idąc ubił kilka kaczek MacIwor, gdyż jarząbki były jeszcze za młode; choć podówczas nie znano przepisów myśliwskich co do pory przypadającej dla różnych ptastwa gatunków. Całe jego ułożenie oznaczało mieszkańca północnych gór; wczem jednak żadnej ani przesady, ani nieogłady znaleźć było. Wojskowa czapeczka, z piórem orlém na znak starszeństwa, poważnym wdziękiem krasila mężkie jego twarzy wejście; ale więcej zdobyły ją geste czarne pukle włosów, piękniejsze, od naśladowanych na rycinach w Bond Streed.

Uprzejma otwartość lica, zasiłała jeszcze wrażenie, jakie na umyśle Edwarda sprawiły kształt i uroda Fergusa. Biegły atoli

fyzjonomista, drugi raz na tę twarz pozierając, nie doznałby tego samego, co za pierwszą razą ukontentowania. Brwie i wiérzchnia warg, znamionowały człowieka nawykłego panować, rozkazywać. Nawet w uprzedzającej jego grzeczności, aczkolwiek była szczera, otwarta, niewymuszona; przebijało się wysokie o samym sobie mniemanie. Każde przyostre, okoliczne, przypadkiem serce jego potrącające słówko, nagle zachmurzało jego jasne oko, zdradzając popędliwość, umysł mściwy, dumę; namiętności tém niebezpieczniejsze, że niemi władał podług swęj woli. Krótko mówiąc, całą istotą swoją podobny był ten człowiek jasnej dnia letniego pogodzie, kiedy niepozorne znaki na niebie wzbudzają obawę grzmotów i błyskawic przed schyłkiem wieczora.

Lecz Edward przy pierwszym widzeniu się z naczelnikiem klanu, żadnej nie miał przyczyny, zapuszczać się w tak niekorzystne wnioski ze względu jego charakteru. Przyjął go Mac-Iwor jako przyjaciela barona Bradwardine, uprzejmie oświadczając radość z jego przybycia; czynił mu nadto w wyrazach delikatnych zarzuty, że w tak lichém nocował mieszkaniu, a nie zaraz udał się do jego dworu. Następnie mówił z Edwardem o wewnętrzném urzędzeniu i sprzętach groty Donalda, żadnej jednak wzmianki nie czyniąc co do rzemiosła, któ-

remu się Donald poświęcił, oraz powodów, które Wawerleja w te strony sprowadziły; i nasz bohater zachowywał z tego względu milczenie, nie chcąc poruszyć niemiłej, jak sądził, naczelnikowi materyi. W ten sposób rozmawiając weszli na dziedziniec Glennaquoich. Ewan, Callum-Beg i Dugald Machony, postępowali za nimi na znak należnej zwierzchnikom części.

Bliżej teraz obeznamy czytelnika z charakterem i historją Fergusa Mac-Iwora; Wawerlej później dopiero o tém wszystkiém się dowiedział, po zawiązaniu ściślejszych z nim stósunków. Znajomość ta aczkolwiek przygodna, ważny wpływ przez długi czas wywierała na jego charakter, i sprawy. Temu więc przedmiotowi nowy rozdział poświęcić wypada.



ROZDZIAŁ VI.

Naczelnik klanu i jego siedlisko.

Górno-myślny licencyat *Francisco de Ubeda* narzeka we wstępie swojej historii *Picara Justina Diez* (a wspomnieć nie zawadzi, że to najrzadsza książka w Hiszpanii), narzeka mówię, na swoje pióro, do którego dzióbka włoski się był przyczepił, i wymowną zaczyna kłótnią, ale nieprzygadająca do celu, z tém tak arcypożytecznym narzędziem, wymyślając; iż jest wzrostkiem gęsi, tego z natury niestatego ptaka, który we wszystkich trzech elementach żyje, na ziemi w wodzie i w powietrzu, nie statecznie nie kochając. Codo mnie za cny czytelniku! Rzecz ma się całé inaczej. Upewniam cię, iż w téj mierze zupełnie się różni od *Francisco de Ubeda*; pióro moje posiada ten najzbawienniejszy przymiot, iż różno od żartobliwej powieści do prawdy, z opisu i rozmowy do opowiadania i charakterystyki przeskakuje. Jeżeli zatem innej od gęsi nie wzięło zalety prócz takiego niestateku; bynajmniej nie gniewam się

o to; sądę owszem mój najszanowniejszy przyjacielu, iż z téj przyczyny między nami żadnego nie będzie nieporozumienia.

Opisawszy obyczajne pospolitych góralów wystawię teraz ich naczelnika. Lecz w tém przedsięwzięciu nader ważném, postąpić sobie muszę jak Dogbery, mądrze i ostrożnie.

Lat temu trzysta, jeden z przodków *Fergususa Mac Jwora*, odezwał się z swoim prawem przełożenia nad potężnym i liczным klanem, którego był członkiem, a którego nazwisko już znane jest czytelnikowi. Atoli poniósłszy klęskę w bitwie z przeciwnikiem, który większe i słusniejsze miał do tego prawo, a przynajmniej był silniejszy, ruszył w południowe okolice z wiernymi pozostałymi jeszcze towarzyszami, jak drugi *Eneas* w celu znalezienia nowej siedziby.

Stan góralskiego hrabstwa *Perth* sprzyjał jego zamysłowi. Można jeden baron w tych okolicach przeniewierzył się ówczasowemu rządowi; Jan (takie było imię naszego awanturnika) przyłączył się do stronnictwa tych, którym rząd polecił ukarać barona; przy téj okoliczności tak się dzielnie sprawił, iż w nagrodę dostał w posiadłość dobra, które utrzymywały się przy nim, a po śmierci spadły na następców. Towarzyszył także królowi w wyprawach wojennych do Anglii, gdzie wszystkie chwi-

Ie od obowiązków zbywające, poświęcił poborowi podatków nałożonych na włościan Northumberlandy i Durhanu; w czem tak mądrze umiał począć sobie, że powróciwszy z wojny wybudował zamek czyli twierdzę z kamieni, która tak wielkie podziwienie wzbudziła między poddanymi w sąsiedztwie, że dotychczasowe jego miano Jan Mac Iwor, albo Jan syn Iwora, zamieniło się później w śpiewach i rodowodach na *Jan nan chaistel*, czyli Jana z twierdzy. Pamięć tego arcyzaczego męża była w wielkiem poszanowaniu u potomków, tak dalece, iż każdy późniejszy naczelnik klanu przybierał ojcowski tytuł *Wich Jan Wohra*, to jest: syna Jana Wielkiego, a klan zwał się *Sliochd nan Iwor*, to jest plemie Iwora, dla odróżnienia od owego klanu, od którego się byli odłączyli.

Ojciec Fergus, dziesiąty w prostej linii potomek Jana z twierdzy, rzucił się duszą i ciałem w odmet rewolucyi z r. 1715; a w końcu, gdy wszystkie usiłowania podjęte w celu utrzymania na tronie Stuarta nie pomyślny wzięły skutek, musiał dla własnego bezpieczeństwa uciec do Francyi. Szczęśliwszy niżeli inni wychodźcy, otrzymał stopień w wojsku francuzkiem, i ożenił się z znakomitą damą, z którą miał dwoje dzieci: Fergusa i Florę. Dobra jego w Szkocyi uległy konfiskacie; później jednak za niską cenę odkupione zostały na

imie młodego dziedzica, który z Francyi powrócił, i w swęj posiadłości zamieszkał. Wkrótce potem pilniej rozważywszy własne położenie i stan kraju, dał poznać mieszkańcom okolicznym swój ognisty, przenikliwy i tchnący żądzą sławy charakter, który się właściwą i wieloraką rozwijał dążnością, jak to mogło mieć miejsce przed sześćdziesięcią laty.

Cdyby Fergus Mac-Iwor urodził się na sześćdziesiąt lat przed r. 1745; nie byłby zapewne posiadał takiego wychowania i znajomości świata; a gdyby znowu był żył sześćdziesiąt lat później, ta żądza sławy i żądza panowania, nie znalazłaby takiego zasiłku, jaki znaleźć mogła śród ówczesnych okoliczności. Był on rzeczywiście w swoim szczytym zakresie tak doskonałym politykiem, jak nim był sam Castrucio Castruciani. Starał się najusilniej załatwiać wszystkie spory i rostérki, które częstokroć zaburzały spokojność w sąsiedzkich klanach, tak dalece; iż nie raz strony poddawały pod jego sąd i roztrzygnięcie najważniejsze między sobą nieporozumienia. Tę patryarchalną władzę mocował Fergus znacznemi wydatkami, ile tylko majątek pozwalał; wszelką usilność swoją kładąc w to, aby nadmierną hojnością i okazałą w przyjmowaniu gości wystawą, tym najcelniejszym naczelnika klanu przymiotem, poniżyć i przyćmić przełożonych

wszystkich innych klanów. W tymże samym celu osadził swoje ziemie mnóstwem bitnych i walecznych wazalów, nie bacząc na to, że ich te grunta wyżywić nie zdołały. Siła jego po największej części składała się z członków klanu, którym nie wolno było opuścić raz już obranego siedliska, chyba, że nie było w mocy Fergususa zabronić im tego. Nadto utrzymywał on jeszcze kilku awanturników pokrewnych swojej matki, którzy aczkolwiek mniej bitnego, lecz może możniejszego porzucili Pana, aby wejść w służbę Fergususa Mac Iwora. Zgoła, kto tylko był panem swojej ręki i woli, i chciał dobrowolnie przyjąć imię Mac-Iwora, znalazł u niego gościnnie przytułek.

Wszyscy ci podwładni raz się zaciągnąwszy pod chorągwie Fergususa, utrzymywani byli w należytej karności i porządku, do którego on sam nawykł, będąc dowódcą wolnej kompanii postanowionej dla przestrzegania porządku między góralami. Na tej poczcie postępował sobie surowo, lecz rozsądnie z pomiarkowaniem, w skutku czego woddanej pod jego opiekę części kraju panował ciągle pokój i doskonały porządek. Na wszystkich swoich wazalów wkładał obowiązek, aby każdy z nich z kolei służył wojskowo przez niejaki czas w jego pułku, a tak w pewnym przeciągu czasu wszyscy nabyli pojęć o karności i służbie wojskowej.

Sprawując to zwierzchne przełożenie, postępował sobie, jak postrzegano, we wszelkich z łotrami stosunkach, bez żadnego względu na prawo jego władzę określające. Z każdym *np.* rozbojnikiem, który na jego wezwanie rzecz porwaną natychmiast wrócił, i sam na jego się zdał łaskę, obchodził się najłagodniej, co niemal podejrzenie wzbudzało; przeciwnie zaś, z całą surowością praw ścigał i w ręce sprawiedliwości oddawał tych, którzy jego napomnieniami lub rozkazami gardzili. Znowu, gdy wykonawcy sprawiedliwości, albo zbrojne kupy przez kraj jego ciągnęły, w celu uskromienia lub schwywania złodziei i krajowych łotrów, bez jego na to poprzedniego zezwolenia; można było łatwo zgadnąć, że paniosa dotkliwą klęskę, lub zupełnie zostaną zniesieni. W każdym takowem zdarzeniu, zawsze pierwszy Fergus Mac Iwor boleśnemi słowy litował się ich niedoli, ubolewając najszczęśliwiej na rozprzeżenie karności i praw zniewagę. Te jednak obłudne skargi i utyskiwania nie odwróciły podejrzeń, jakie wzbudzało jego postępowanie; przełożono więc tę rzecz zwierzchności w ten sposób, iż Fergusowi odjęto dowództwo nad kompaniją. Aczkolwiek głęboko uczuł tę zniewagę, umiał jednak z nieporównaną zręcznością ukryć żal w sercu i potłumić nieukontentowanie: Wkrótce atoli smutne onego skutki na okoliczne spły-

nęły sąsiedztwo. Donald Bean Lean i inni z pod tegoż samego cechu, którzy dotąd swoje rabunki popełniali w dalszych okolicach, obrali sobie teraz ten okrąg za główne stanowisko najazdów, roznosząc ztąd wokoło postrach i łupieztwo bez żadnego oporu: bowiem cała szlachta dolnej Szkocyi składała się po większej części z rozbrojonych Jakóbitów. To zmusiło niektórych mieszkańców do opłacania Fergusowi Mac-Iworowi pewnej daniny bezpieczeństwa, cogo nie tylko uczyniło ich obrońcą, i jednało mu wielką wziętość w wszelkich pospolitych naradach; lecz zarazem nastęrczało środki ku podejmowaniu rozlicznych wydatków, jakich potrzebował na wystawne i okazałe przyjmowanie wazalów.

W całym tém postępowaniu Fergus rozleglejsze widoki miał na celu. Być uważanym w sąsiedztwie za wielkiego człowieka, i despotycznie panować nad małym klanem; wydawało się mu rzeczą niegodną podobnych usiłowań. Z młodych lat przywiązał się był do sprawy wygnanej rodziny; trwał statecznie w myśli, iż takowa nie tylko w krótkim czasie tron utracony odzyska, lecz jeszcze i tych wszystkich wynagrodzi, którzyby się do tego odzyskania przyłożyli. Z téj przyczyny w dobrém zostawał porozumieniu z szlachtą sąsiedzką sprzyjającą sprawie wygnanców; jakoż i teraz korzy-

stał z nastęrczonój sposobności kradzieżą Donalda Bean Lean, ku zagodzeniu wzmiankowanych nieporozumień z baronem Bradwardine. Było to dla Mac-Iwora nader pomyslnie, w sam raz przypadające zdarzenie; ponieważ baron przy całym dziwactwie swojém w wielkiemu ludzi zostawał poważaniu. Co większa! domyślali się niektórzy, że Donald nie z własnego natchnienia dopuścił się téj kradzieży, ale jedynie dla uatorowania przez to drogi Fergusowi do zgody z baronem.

Taką przychylność ku sobie wynagradzali wygnancı Stuartowie znakomitym udziałem zaufania, stósownym do okoliczności i możności zasiłkiem złotych *Ludwików*, krociami pięknych stówek, i pargaminowym patentem opatrzonym ogromną pieczęcią woskową, który był podpisany własną ręką nie pośledniej jakiej osoby, ale ręką samego Jana III króla angielskiego, a ósmego tegoż imienia króla szkockiego: tenże mianował wiernego, ukochanego i wielce szanownego poddanego Fergusa Mac-Iwora Glenaquoich hrabią na hrabstwie Perth w królestwie Szkocyi.

Olsniony tym blaskiem przyszłej korony hrabiowskiej, zabrnął daleko Fergus w związki pisemne i potajemne owego czasu knowania; a jako wszyscy facyoniści z pod téj cechy, umiał i on służyć gorliwie stronnictwu, pogodził sumienie swoje z po-

stępowaniem, od któregooby go zawsze honor i duma wstrzymały, gdyby nim rządziły widoki osobistej tylko korzyści.

Wejrzawszy w ten odważny dumny i ognisty, ale zarazem skryty i przezorny charakter, tak dalej powieść naszą ciągniemy.

Naczelnik i jego gość przybyli tymczasem do dworu Glennaquorch. Była to czworokątna dzikięj postaci wieża, dawna siedziba *Jana nan Chaistela*. Do jednego jej boku przystawał gmach dwupiętrowy, który postawił Fergus a dziadek po powrocie z sławnej wyprawy, dzisiaj jeszcze wspomnianej w zachodniem hrabstwie pod nazwiskiem: *zastępu górali*. Można wnioskować, że ta krucjata przeciwko Whigom w Ayrshyre, musiała przynajmniej tyle być korzystną dla Wich-Jana-Wohra, jak był korzystny dla jego przodków czas rabunku w Northumberlandy: bowiem przekazał on późniejszym czasom, tym spaniałym budynkiem okaz swojej dumy i zamiłowania wytwórni.

Wokoło mieszkalnego gmachu zbudowanego wśród wązkiej doliny żadnych nie było upiększeń, jakie zwykle widzimy po innych szlacheckich dworach. Dwa parkany całe otaczały zabudowanie; te razem z kamiennym wałem stanowiły jedyne ogrodzenie folwarku. Z resztą nie innego widać nie było, prócz równych łąnów po obu stronach rzeki, podzielonych na wązkie zagony,

chudym zasiane jęczmieniem. Zasiew ten spasały konie i bydło z pobliskich pagórków; w takim razie góralsecy skotopasowie, gdyby szaleńcy z wrzaskliwym okrzykiem zbiegając z pobliskich pagórków rozpedzali je na strony, szczując cudzą trzodę zgłodniałemi psami.

W niejakiej odległości za doliną był mały gajk brzozowy; góry wysokie wrzosem zarosłe przedstawiały niczem nieurozmaicony widok; charakter całej okolicy był raczej dziki i stepowy, niżeli spaniały i samotny. Jednakże, w takim nawet stanie, żaden prawy potomek *Jana nan Chaistela* nie oddałby swojej posiadłości za *Stow*, albo *Blenheim*. (*)

Wawerlej jednak, zbliżając się ku bramie zamkowej, postrzegł coś takiego, coby może pierwszemu właścicielowi *Blenheimu* większą sprawiło uciechę, niżeli najpiękniejsze okolice jego dóbr, otrzymanych w upominku od wdzięcznej ojczyzny. Widok ten sprawiał zastęp blisko stu górali od stóp do głów uzbrojonych. Fergus widzących ludzi rzekł niedbale do Wawerleja: „zapomniałem zebrać się niektórzy plemiennicy klanu; chciałem się przekonać, czy są gotowi do obrony ojczyzny, i ukró-

(*) *Stow*, sławne ogrody — *Blenheim* pałac Księcia *Marlborougha*.

cenia takich nadużyć, jakich, z boleścią mojego serca, dopuszczono się względem barona Bradwardine; może zechcesz Kapitanie Wawerleju razem z mną być świadkiem ćwiczeń wojskowych.

Edward przystał na to; a żołnierze zięcznie wykonywali niektóre zwyczajne wojskowe obroty. Rozeszli się potem z szeregów, chcąc dać dowód swojej sprawności wstrzelaniu do celu z pistoletów i karabinków. Strzelali stojąc, siedząc, w nachyleniu albo też i leżąc na ziemi podług rozkazu; i zawsze trafiali w cel namalowany na tarczy. Potem stanawszy parami popisywali się wsztuć szermierskiej; nakoniec rozłączywszy się na dwa plutony, porzegli się między sobą potykać. Nacieranie, udany pochód, zaczepka, ustępowanie, ściąganie, zgoła co przy żwawej bitwie dziać się zwykło, było dokładnie przez nich wykonane według głosu donośnej piszczałki.

Za danym znakiem przez naczelnika, skończyła się utarczka; a wojsko rozdzielone na oddziały zaczęło znowu próbować swoich sił w bieganiu, szermowaniu, skakaniu, rzucaniu włóczni i t.d; wczem wszystkiem dało dowody nieporównanej szybkości, siły i zwinności. Wszystkie te zalety sprawiły niemałe wrażenie na umyśle Wawerleja; toż właśnie było ukrytym celem Mac-Iwora, że mu chciał swoją potęgę okazać.

„Iluż może być tych dzielnych chłopców, którzy mają to szczęście zostawać pod dowództwem Pana?“ zapytał Edward.

„W dobrej sprawie, pod dowództwem naczelnika, którego kochają, klan Iwora rzadko kiedy mniej wyprowadza w pole jak pięciuset takich żołnierzy. Ale wiadomo Panu, że rząd przed dwudziestu niemal laty, wydał akt rozbrojenia, przeto w takiej sile trzymać się już nie możemy, i ja tylu tylko uzbrajam, ilu mi potrzeba dla bezpieczeństwa klanu i moich przyjaciół spokojności, od napadu takich ludzi jakim jest naprzykład wczorajszy pana gospodarz; a ponieważ rząd nas nie broni, przetoż nie powinien nam mieć za złe, że się sami bronić chcemy.“

„Ależ tą siłą, którą Pan masz w ręku swoich, mógłbyś odrazu zniweczyć, a przynajmniej wypędzić z okolicy takich łotrów, jakim jest Donald Bean Lean.“

„Tak jest, nicinaczej; lecz w nagrodę tego otrzymałbym rozkaz złożenia w ręce generała Blackeneja i tych kilku pałaszów, które nam z litości zostawiono; krok taki, jak rozumiem nie byłby bardzo polityczny. Lecz proszę z sobą Kapitanie! piszczałki głoszą że obiad już na nas czeka. Racz Pan obecnością swoją zaszczycić moje ubogie mieszkanie.“

ROZDZIAŁ VII.

Uczta góralska.

Przed wejściem do sali biesiadnej, poddać się musiał Wawerlej patryarchalnemu obyczajowi umycia nóg; co na dniu parnym w sam raz przypadało dla utrudzonego wędrowca, który nie jedne przebył bagna, i nie po jednych brodził moczarach. Nie służono mu poprawdzie tak okazale, jak niegdyś podróżnym bohaterom Odyssei; umywaniem i uciéraniem nóg nie trudniła się piękna niewiasta, której było obowiązkiem *z lekka ciało naciérać, i wonnym namaszczać olejkiem*; ale okopcona, wychudła staruszka góralka, która nie sądząc się być zaszczyconą tym na siebie włożonym obowiązkiem, mruczała pod nosem: „*trzódy naszych ojców nie chodziły tak blisko siebie, żebym ci miała takie czynić posługi.*“ Lecz mały podarek wkrótce ukoił urazę staruszki; która, gdy Edward odchodził do salonu, gaeli-

kiém pobłogosławiła go przysłowiem: „*Niechaj się dłoń twoja znowu wypełni.*“ Sala biesiadna zajmowała całe pierwsze piętro starego budynku *Jana nan Chai-stel*; niezmiernéj długości stół dębowy stał na środku. Nakrycie było proste nawet pospolite; towarzystwo liczne, za wielkie niemal w stosunku do objętości stołu. Celne miejsca zajęli Fergus z Edwardem, i dwaj czy trzej goście z sąsiedzkiego klanu; potem z kolei najstarsi wiekiem i urzędem *wadsetery* i *tachsmeny*, to jest dzierżawcy udzielnych gruntów; dalej następowali ich synowie, pokrewni i bracia mlęczni; po tych dworzanie podług stopnia i godności; a na samym końcu osadnicy, którzy własną ręką ziemię uprawiali. Prócz tych widział jeszcze Edward przez ogromne podwoje wychodzące na dziedziniec, tłum górali późniejszego rzędu, którzy także byli uczestnikami biesiady. Jeszcze dalej przesunęły się grupy różnie ubranych kobiet, żebraków młodych i starych, chłopców i dziewcząt na wpół nagich, wielkich brytanów, wyżłów, kundłów, i domowych psów rozmaitéj rasy; wszystkie te individua mniej więcej, pośrednio lub bezpośrednio do uczty należały.

Ta jednak na pozór nieumiarkowana w podejmowaniu gości hojność, nie występowała z pewnych granic oszczędności. Kilka starannie przyrządzonych dań z ryb,

zwiérzyny i t. d. zastawiono przed cudzoziemcem Anglikiem. Dalej stały ogromnego kształtu baranie i wołowe pieczenie, jakby dla zalotnej zgrai w domu Penelopy; tylko wieprzowiny nie dostawało, którą się Szkoci brzydzą. Ozdobą zaś całego stołu był pośrodku stojący upieczony baran roczniak, zwany *Hog in harst*. Stał on na nogach trzymając w zębach wiązkę pietruszki — utwor dowcipu kucharza, który więcćj zważał na dostatek i obfitość, niżeli na smak potraw. Mężowie klanu ochotnie wzięli się do barana, okrawując go ze wszystkich stron, jako który mógł, to sztyletem to nożem, który pospolicie w jednej pochwie z sztyletem się mieścił, tak dalece, że naprędce smutne tylko szczątki zostały z tłustego niegdyś barana. Dalej ku szaremukońcowi dosyć było strawy aczkolwiek posłedniejszej. Chleb, cebula, syry, i okruchy biesiady, nęciły ku sobie synów Iwora, którzy pod otwartem bankietowali niebem.

Tym samym sposobem, podług téjże miary rozmaite podawano napoje. Doskonały klaret i szampan dostawały się najbliższemu naczelnikowi sąsiadom; zaś czysty i rozcienczony *whisky*, tudzież piwo tęgic, pili goście z szarego końca.

Ta nierówność nikogo nie obrażała; każdy gość wiedział, iż mu należało własny gust do miejsca stósować, jakie przy stole

zajmował; naturalnie więc oświadczyli dzierżawcy, że wino było za zimne dla ich żołądków, żądając napoju, który ze względu na oszczędność, dla nich był przeznaczony. Podczas uczy chrapliwa brzmiała muzyka, której echo zmieszane z przeraźliwym odgłosem celtyckiej twardej mowy, rozbijając się o sklepienia salonu, tak głośzący gwar sprawiało; że Edward długo potem swego słuchu odzyskać nie mógł. Mac Iwor przepraszał go za zgiełk tak różno-dźwięczny, wymawiając się, iż obowiązkiem pierwszym było każdego naczelnika przyjmować w ten sposób swoich gości. „Ci silni i nieczynni plemiennicy mojego rodu“ rzekł „rozumieją, że to co moje, i do nich należy; muszę im przeto dostarczać mięsa i piwa, a oni się tylko biją, drapią po górach, strzelają, łowią ryby, polują, piją, i igrają w dolinach z dziewczętami. Lecz cóż mam począć, Kapitanie Wawerleju? Każdy z nas żyje według swego upodobania, a góral jak sokół.“

Edward odpowiedział na to grzecznie: „szczęśliwy kto rządzi tylu dzielnymi i życzliwymi sobie ludźmi.“

„Zaiste“ odpowiedział naczelnik, „gdybym przykładem moich ojców chciał szukać szczęścia z orężem w rękę, pewny jestem, iżby mnie nie odstępili. Ale komużby taka myśl w dzisiejszych czasach przez

głową przejść mogła? Teraz stara baba z workiem stoi za trzech mężów z szablą u boku.“ To wymówiwszy obrócił się do towarzystwa i wniósł toast: „za zdrowie Kapitana Wawerleja zanego przyjaciela, dobrego sąsiada i sprzymierzeńca Barona Bradwardine.“

„Niech żyje!“ rzekł jeden z najstarszych wiekiem; „jeżeli przybywa od Cosmo Comine Bradwardine.“

„A ja na to się niezgadzam“ rzekł drugi podeszły człowiek, który nie był rad, jak się wydawało, temu toastowi, „na to się nie zgadzam; jak łatwo znaleźć listek w lesie zielony, tak łatwo znaleźć obłudę i fałsz u Cosmina.“

„U Barona Bradwardine znajdziesz tylko cześć i honor,“ odpowiedział inny starzec; „a gość, który od niego przybywa, niech żyje, choćby miał ręce krwią zbroczone, byle nie krwią plemienia Iwor.“

Starzec, którego puhar stał nietknięty, odpowiedział: „nie mało krwi plemienia Iwor przelała ręka Bradwardina.“

„Ach! Ballen-Keiroch“ rzekł pierwszy, „wy widzę pamiętniejsi jesteście na wystrzał karabinowy, co błysnął w Tully-Weolan, niżeli na szczęk jego oręża, gdy za naszą sprawę pod Preston walczył.“

„Jakże nie mam pomnić?“ odpowiedział Ballen-Keiroch, „błysk z karabina w Tully-Weolan pozbawił mnie pięknego, dłu-

go-włosego syna, a szczęk jego oręża mało co pomógł Królowi James (Jakóbowi).“

W kilku słowach objaśnił naczelnik po francuzku Wawerlejewi, iż baron przed siedmiu laty w bitwie pod Tully-Weolan zastrzelił syna temu starcowi; następnie oświadczył Ballen-Keirochowi, że Wawerlej jest Anglikiem, i żadnego związku nie ma z domem Bradwardinów ani zurodzenia, ani przez jakiegokolwiek inne stosunki. Wtenczas dopiero podniósł starzec w górę nietknięty dotąd puhar, i wypił uprzejmie za zdrowie Wawerleja. Gdy ze swojej strony Edward toż samo uczynił, naczelnik dał znak muzykantom aby ucichli, a sam rzekł głośno: „gdzie się podziały piosnki, że ich Mac-Murrough znaleźć nie może?“—Mac-Murrough, bard nadworny, człek już podeszły, posłuszny rozkazowi swojego pana, począł natychmiast śpiewać głosem najprzód wolnym i cichym, potem w miarę postępu osnowy coraz silniejszymi i prędzszymi mnóstwo wierszy celtyckich, których słuchali obecni z natężoną uwagą i zapalem. Z początku oczy miały ku ziemi obrócone; później podniósł je, obejrzał się w około, jakby czego szukał lub o uwagę prosił, a śpiew jego brzmiał dzikim i namiętym dźwiękiem, któremu stosowna odpowiadała gestykulacja. Edwardowi pilnie słuchającemu wydawało się niekiedy, jakoby słyszał w wierszach

barda wyliczenie wielu nazwisk, skargi i żale za umarłymi, przemowy do nieprzytomnych, nareszcie jakieś prośby i upominanie tych, którzy byli obecnymi. Wydawało mu się nawet, że usłyszał wymienione swoje własne nazwisko; bardziej zaś utwierdził się w tym mniemaniu, gdy nagle wszystkich oczy ku niemu się zwróciły. Zapach poety ogarnął słuchaczy. Dzikie ich i ogorzone twarze przybierały śmielsze i ognistsze wejrzenie; wszyscy ku śpiewakowi nachyleni, niektórzy poskoczywszy naprzód wywijali ręką na znak uniesienia, a inni chwytali za rękojeście swoich pałaszów. Gdy ucichł śpiew, głębokie nastąpiło milczenie, podczas którego stygł powoli zapach i poety i słuchaczy.

Fergus zdawał się raczej uważać skutki entuzjazmu biesiadników, aniżeli wzniósłe podzielać ich uniesienie. Napelniwszy winem mały srebrny kubek, rzekł do jednego z służących: „Podaj to Mac-Murroughowi nan John, a gdy wypije, powiedz mu w imieniu Vich-Jan-Vohra, aby zatrzymał u siebie to naczynie.“ Mac-Murrough przyjął podarek z wdzięcznością; wypił wino, pocałował puchar, i skrył w płedzie spiętym na piersiach. Począł potem na nowo śpiewać; zdawało się Edwardowi, że to była improwizacya na cześć naczelnika. Podobała się i ta pieśń; atoli nie uczyniła takiego wrażenia jak poprzedzająca; było

jednak rzeczą widoczną, że klan hojność i szczodrość naczelnika wdzięcznym sercem przyjmował. Wzniesiono jeszcze kilka ulubionych gaelickich toastów, które Fergus objaśniał Edwardowi sposobem następującym: „Za zdrowie tego, który tytu nie podaje ani przyjacielowi, ani nieprzyjacielowi! — tego, który nigdy towarzysza nie opuści! — tego, który sprawiedliwości nigdy ani kupował, ani przedawał! — Gościnność wygnańcom, śmierć tyranom! — Za zdrowie walecznych! — Górale! ręką w rękę!“ i inne tego rodzaju silnie pobudzające toasty.

Edward życzył sobie wyrozumić myśl piosnki, która tak wielki w całym zgromadzeniu zapach obudzała; ożnajmił tę chęć swoją gospodarzowi. „Postrzegłszy“ odpowiedział naczelnik, „że Pan pe trzykroć wymówiłeś się z przypadającej nań kolei wychylenia kielicha, chciałem go prosić na herbatę do mojej siostry, która mu zapewne lepij potrafi niżeli ja wytłómaczyć znaczenie owych piosnek. Nie mogę ograniczyć biesiadnej ochoty mojego klanu; żadnej jednak, wychodzącej z miary nie lubię; i nie mam“ dodał z uśmiechem „niezdźwiedzia na odjęcie ludziom rozumu, któryby się im mógł na co przydać.“

„Edward wstał od stołu z Fergussem; naczelnik kilka jeszcze słów powiedział do tych, którzy najbliżej siedzieli. Gdy

wyszli z izby jadalnej, usłyszał Edward powtórne wiwaty za zdrowie Vich-Jana Vohra, azgiętk, i ochocze okrzyki, wyrażały radość, zadowolenie, i szczerę przywiązanie gości do gospodarza.



ROZDZIAŁ VIII.

Siostra Naczelnika Klanu.

Bawialny pokój Flory Mac-Iwor nie był wytwornie urządzonej; bowiem w Glennaquoich zmniejszano ile możności wszelkie wydatki, żeby tylko utrzymać wystawną okazałość otwartej dla wszystkich gościnności, w celu pomnożenia liczby plemienników, przyjaciół i życzliwego stronnictwa. Żadnego atoli śladu tej oszczędności znać nie było w bogatym stroju samej lady, która modę paryżką z szkockim gustownie połączyła krojem. Włosy jej nie utrefione sztuką, spływały na ramiona po obu stronach; u góry tylko spinał ich sploty pierścieni bogatemi wysadzany dyamentami. Czyniła ona w tej mierze zadosyć narodowemu zwyczajowi, który niezamężnej kobiecie w czepcu chodzić nie dozwalał.

Flora Mac-Iwor uderzające miała podobieństwo do brata swego Fergus'a; wzrost jej był tak wysoki, iż oboje mogliby wystąpić w rolach *Wjoli* i *Sebastjana*, i

z równym takowe odegrać skutkiem, jak Pan Sidons i jego siostra Henryka. Twarze jak siostry tak brata przypominały grecki profil; też same czarne oczy, rzęsy i brwie; taż sama delikatność płci, tyle tylko, że Fergus ustawnie pod gołębem zostając niebem, znacznie był od słońca opalony. Dumę w wejrzeniu, i regularność rysów Fergusa, łagodził uprzejmy wdzięk na twarzy Flory. Oboje mieli jednaki głos, odmienny tylko co do mocy: gdy bowiem Fergus dowodził w obrotach wojskowych, natenczas przypominał Edwardowi cudne miejsce opisu Emetryusza:

„ . . . a głos jego srebrzysty,
Brzmiał głośno i donośnie, jak dzwonek czy-
sty.“

Przeciwnie mowa Flory była słodka i łagodna; *szacowny te przymiot u kobiet*— a gdy przyszło jej mówić o przedmiocie ulubionym, nad którym dowolnie jej rozszerzyć się wolno było, wyrażała się natenczas z pewnym przyciskiem, który jej mowie nadawał akcent wyraźniejszy, i każde ku niej skłaniał serce. Połysk w czarném przenikliwém oku Fergusa, które nawet fizyczne roziskrzały przeszukody, był w oku jego siostry Flory łagodnej melancholii spojrzaniem. Wzrok Fergusa zdawał się gonić za sławą, zdawał się szukać władzy, i tego wszystkiego, coby go nad innych

wywyższyc mogło; przeciwnie Flora, jakby sama własną swoją uznawała wyższość, zdawała się raczej litościwie, jak zazdrośnie na tych spoglądać, którzy inné szukali sławy. Obójgu uczucia z zewnątrz na ich postawą w najściślejszym zostawały związku. Początkowe wychowanie wraziło w serce Fergusa i Flory miłość najstalszą dla wygnanej Stuartów rodziny. Rozumiała Flora, jakoby było obowiązkiem jej brata, jej klanu, każdego męża w całej Brytanii, jakkolwiekby go los za to spotkał, żadnych nie szczędzić usiłowań ku przywróceniu wygnańca na tron; o czém jeszcze nie zwątpili stronnicy Kawalera Świętego Jerzego. Temu celowi była gotowa wszystko poświęcić i wszelkie ponieść cierpienia. To przywiązanie w jej sercu nieskalane i szczere, w sercu jej brata wybiegło z kresu i miary. Przywykły do strojenia kabał, wplątany w tysiączne samolubstwa zamysły, z natury podniosły i dumny, skaził swoją polityczną wiarę widokami pnącego się do coraz wyższych zaszczytów egoizmu, tak dalece, że w chwili, kiedyby się wziął do oręża, trudnoby było rozstrzygnąć, czyli zamierzał Sir Jama, Stuarda Kroleim obwołać, czyli téż Fergusa Mac Iwora podnieść do godności hrabiowskiej. Te uczucia, aczkolwiek nie pojmował ich istoty, kierowały wszystkiemi jego sprawami i całym sposobem myślenia.

Przeciwnie Flora pałała najczystszeń uczuciem przywiązania do domu Stuartów. Nie jedyny to był przykład tak nieograniczonego poświęcenia się dobru nieszczęśliwych wygnańców—niechaj czytelnikowi przyjdą na myśl popierające tę okoliczność świadectwa historyczne. Z drugiej strony, poważanie, jakie okazywał Kawaler S. Jerzego i jego małżonka rodzicom Fergus i Flory, utwierdzało i brata i siostrę silniej jeszcze w tém uczuciu. Po śmierci rodziców przez niejaki czas był Fergus paziem worszaku małżonki Stuarta, która go zaszczycała szczególniejszemi względami. Spłynęły te względy w części i na Florę, która kosztem księżnej odebrawszy wychowanie w jednym z najznakomitszych klasztorów, następnie dwa lata przy niej samąj zostawała. Z téj przyczyny oboje dozgonną ślubowali wdzięczność dobroczyńcom swoim.

Skręśliwszy główne rysy charakteru Flory, zresztą pokrótce się sprawimy. Rozum jej był w wysokim stopniu ukształcony, obyczaje i zachowanie się tak przy zwoite, jak tylko tego żądać można od kobiety, której młodość na wielkim dworze upłynęła; jednakże obłudna grzeczność nie zajęła w jej sercu miejsca szczerzego uczucia. Zamieszkawszy samotne okolice Glennaquoich, rzadką miała sposobność czytania najlepszych dzieł wję-

zyku francuzkim, angielskim i włoskim; dla rozerwania się przeto poświęcała wolny czas muzyce i poetyckim podaniom Szkocyi. Większe też znajdowała w tém upodobanie niżeli jej brat, który ciałniejsze mając wyobrażenie ze względu użyteczności nauk, nie tak czuł rzeczywiście piękność poezyi ludu, jako raczej chwalił je przez pochłębstwo dla niego. Przedsięwzięcie Flory dalszego postępowania w wyszukiwaniu rzeczonych podań, bardziej jeszcze ożywiało ukontentowanie, jakie udzielaniem bliższych w téj mierze objaśnień miłośnikom sztuki i natury sprawiała.

I przywiązanie do rodzinnego klanu, od urodzenia wszczepione w jej serce, tak jak życzliwa przychylność dla Stuartów, było daleko płomienistsze, nieskazitelniejsze, niżeli u jej brata Fergus. Ostatni zbyt biegłym był politykiem, nadto wyraźnie używał swojego patryarchalnego wpływu ku własnemu wyniesieniu się, abysmy go podawać mogli za doskonały i prawdziwy wzór naczelnika góralskiego klanu. Flora przeciwnie, starała się dla tego rozszerzyć i utrzymać ową patryarchalną godność, aby częścięj nieść mogła wspomóżenie ubóstwu, niedostatkowi i uciskom tych, którym jej brat rozkazywał, mocą panujących jeszcze w narodzie wyobrażeń. Co tylko oszczędzić mogła (po-

bięrała bowiem małą płacę od Księżnej *Sobieskiej*), tego wszystkiego używała, nie na marne błyskotki dla uprzyjemnienia życia niektórych kmiotków, ale jedynie ku opatrzeniu w niecodzowne potrzeby tych, których siły wiekiem, lub chorobą były stargane; w każdym innym razie woleli górale pracą dostąpić zaszczytu wspólnego z naczelnikiem biesiadowania, innéj od niego nagrody nad tę, jaką im wyznaczył rozdziałem gruntów swojej majątności, nie żądając. Flora, tak dalece zniewoliła sobie serca tych ludzi, że jednego razu, kiedy Mac Murrough ułożył pieśń, w której wymieniając najpierwsze téj okolicy wdzięki, ją samą nad wszystkie wywyższył najcudniejszój urody kobiety, przyrównaniem do jabłka na najwznioślejszój gałęzi; otrzymał w darze od plemienników klanu tyle jęczmienia na nasienie, że mógłby dziesięć razy zasiać cały swój parnass góralski, *bard's croft* (pole bardów).

Miejsce, gdzie mieszkała, i jéj własna wola ograniczyły towarzystwo Panny Mac Iwor. Najszezerszą jéj przyjaciółką była Róża Bradwardine; gdy się razem zeszyły, mogły służyć za doskonały wzór artystcie do obrazu dwóch muz, jednéj wesołéj, drugiéj tęsknéj. Ojciec tak czule kochał Różę, zakres jéj życzeń był tak ograniczony, iż żadnéj prawie nie okazała chęci, którójby

zadosyc nie uczynił, lub uczynić nie mógł. Inaczéj się rzecz miała z Florą. Od dzieciństwa doświadczając zmian rozmaitych losu, wytwór i okazałość w samotne teraz odmieniła schronienie. Jéj myśl i życzenia obejmowały wielkie narodu koleje, zostawały w związku z odmetem spraw, które bez niebezpieczeństwa i krwi rozléwu zjścić się nie mogły; to jéj serce uciskało. Ztąd ta smętność w jéj charakterze, który jednak dawał się czasem naginać do potrzeby rozweselenia towarzystwa. Śpiewała nie raz z starym baronem, który ją w wielkiém miał poważaniu, rozmaite stare francuzkie dueta o *Lindorach* i *Chlorisach*, sławne pod koniec panowania starego *Louis le grand*.

Powszechnie rozumiano, lubo nikt o tém baronowi Bradwardine wspomnieć nie śmiał, jakoby próby Flory złagodziły gniew Fergusa. Ujęła ona brata swego pobudkami, które najprędzéj do jego przekonania trafiły, zwracając naprzód uwagę Mac Iwora na podeszły wiek barona, potem na szkodę jaka ztąd wyniknęły mogła dla dobrej sprawy; nakoniec przekładała mu, że z tego powodu mógłby popaść w złe o rostopności swojej mniemanie, który przymiot najpotrzebniejszy człowiekowi zajętemu sprawami politycznymi. Bez tych Flory przełożen byłiby się niezawodnie pojedynkowali; albowiem baron

niewco dawniej przelał był krew jednego z klanu, a ze względu mistrzostwa w władaniu szablą taką miał sławę, że mu jęj niemal zazdrościł Fergus. I tę ostatnią okoliczność miała Flora na myśli; przyspieszyła więc pojednanie, którego i sam Fergus życzył sobie, pomnąc na korzyści jakie ztąd dla jego dalszych wynikną zamiarów.

Do tęg młodęg lady, obecnie zostającęj przy stoliku od herbaty, przyprowadził Fergus Kapitana Wawerleja.



ROZDZIAŁ IX.

Szkoccy Minstrele.

Gdy Edward powitał Florę, rzekł Fergus do nięj: „Nim wrócę, gdzie mnie przodków obyczaj powołuje, muszę cię uwiadomić Floro, że kapitan Wawerlej wielkim jest czcicielem celtyckięj muzy, co może ztąd pochodzi, że cale nie rozumię tego języka. Uprzedziłem go o twojęj biegłości w przekładaniu na inne języki szkockich pieśni; i że Mac-Murrough z tegoż samego może powodu tłómaczenia twoję podziwia, dla którego oryginał się podoba kapitanowi Wawerlejowi; to jest: że ich nie rozumię. Bądź tak dobrą i powtórz w angielszczyźnie naszemu gościowi na pamięć lub z pisma ten nieskończony szereg imion własnych, które Mac-Murrough po gaelicku w jedną zebrał całość. Stawię życie moje w zakład przeciwko jednemu piórku cietrzewia, że tę piosnkę musiałaś już przelożyć na język angielski; nie tajno mi bowiem, że w przyjazni żyjesz z Bardem, i że dobrze pięrwęj

obznajmiasz się z jego piosnkami, nim one zabrzmiały w sali biesiadnej.

„Godzi się tak mówić bracie! Sam wiesz najlepiej, że te wiersze nie zajmą Anglika, choćbym nawet, jak utrzymujesz, przełożył je na angielski język uniała.“

„Ręczę, piękna lady, że go tyle co i mnie samego zajmują. Dzisiaj te piosnki wasze, sądzę bowiem, że i ty do ich układu należałaś, obrały mnie z oztatniego w kredensie moim puchara srebrnego; przewiduję że mię na większą jeszcze stratę narażą, gdy przyszłą koleją zbierze się u nas *la cour pleniere*, a muza pieśni pobłogostawi Mac-Murroughowi; znasz bowiem przypowieść naszą: „jesli najstarszy klanu przestaje dawać bardowi, ślina mu do ust przysycha.“ Lecz radbym żeby tak było; te trzy rzeczy na nie się dzisiaj góralowi nie przydadzą: pałasz którego nie wolno wyciągnąć z pochwy — bard, który opiewa czyny, a nikt ich naśladować nie może — i worek z koziej skóry, ani jednego nie zawierający luidora.“

„Dobrze mój bracie, ponieważ zdradzasz moją tajemnicę, nie miéjże mi za złe, że i ja twoją wydam. Zapewniam cię kapitanie Wawerleju, że Fergus tak jest dumny, iżby pałasz swego nie oddał za buławę marszałkowską, że Mac-Murrougha za większego od Homera poetę poczytuje, a swego worka z koziej skóry nie od-

dałby za wszystkie luidory, co się w nim zmieścić mogą.“

„Wyśmienicie Floro! wet za wet — jak mówił *Konan* do szatana. Lecz rozmawiajcie sobie o bardach i poezyi, a nawet o workach i mieczach, a ja tym czasem wrócę do senatorów pokolenia Iwor.“ Powiedziawszy to odszedł z pokoju.

Odtąd sama Flora z Wawerlejem rozmawiała; dwie bowiem młode, przystojnie ubrane panny, częścią dla posługi, częścią dla towarzystwa Miss Flory zostające w pokoju, żadnego udziału nie miały w tej rozmowie. Choć obiedwie ładne, nierównością jednak urody, tém świetniejszego przydawały blasku wdziękowi swojej pani. Rozmowa nie zбочyła z kierunku, który jej nadał Fergus. Postrzeżenia lady ze względu celtyckiej poezyi rozweselały i zadziwiały Wawerleja.

„Pieśni“ mówiła „opiewające sprawy rycerzy, tkliwe żale, i roztyrki niezgodnych klanów, są najmiłszą zabawą górali, w czasie wieczorów zimowych. Niektóre z nich dalekiej starożytności zasięgają mają; sprawiłyby nieochybnie głębokie wrażenie, gdyby je kto przełożył na jaki język europejski. Inne powstały w nowszych czasach; układali je śpiewacy domowi, których znakomitsi, i możniejsi naczelnicy klanów po dworach swoich utrzymują. Są oni zarazem i bardami i dziejopi-

sami swego rodzaju. Te pieśni wielorakie mają zalety, które jednak powiększej części w przekładzie się zaciągają; szczególnież zaś nikną dla tych, którzy sami poetyckie- go nie mają uczucia.“

„A tenże poeta, którego zapał tak silnie zdawał się działać na słuchaczy, jest zapewne jednym z najulubieńszych śpiewaków w górach?“

„Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Jego sława daleko się rozeszła między krajowcami, a ja jej zapewne sciesniać nie będę.“

„Lecz jego śpiew, Miss Mac-Iwor, zdawał się wszystkich unosić wojowników, tak młodych jak i starych.“

„A jednak mało co więcej zawierał prostą wzmiankę klanów góralskich, i zarazem ich znamienitszych spraw; tudzież zachęcenie obecnych, aby wstępowali w ślady przodków swoich.“

„Jeżeli się nie mylę, jakkolwiek to dziwną zdaje się rzeczą, wiersze jego zamykają pewne do mnie zastosowanie.“

„Masz Pan dar bystrego postrzegania, kapitanie Wawerleju! Tą razą nie omyliłeś się w zdaniu swoim. Gaelicka mowa bogata w samogłoski, szczególniejszą łatwością nagina się do improwizacji; rzadki bard, któryby korzystając z tej własności ojczyźstego języka, nie zwiększał skutku naprzód ułożonej pieśni, przyda-

niam kółku zwrotek, do chwilowej zastósowanych okoliczności.“

„Dałbym najdzielniejszego konia mojego, gdybym wiedział, co też ten bard góral, mógł pywiedzieć o tak niegodnym potudniowcu, jakim ja jestem.“

„Nie dasz Pan ani jednego włoska z grzywy tego konia—*Una Mawourneen!* (rzekła kilkastów do jednéj z dwóch panien, która skłoniwszy się wybiegła z pokoju.) Posłałam *Unę* do barda, żeby jej powtórzył przydane zwrotki, a ja będę się starała przełożyć je na język angielski.“

Una powróciwszy za kilka minut od barda, powtórzyła swojej pani kilka gaelickich wierszy. Flora zdała się rozmyślać przez chwilę; następnie rzekła nieco zapłonioma do Wawerleja: „Nie mogę zadosyć uczynić żądaniu Pana, nie zdradzając mojej zarozumiałej próżności. Gdybyś mi Pan zostawił kilka chwil do namysłu, starałabym się oddać myśl tych wierszy w niedoskonałym przekładzie angielskim; pierwej już wytłómaczyłam część oryginału. Zdaje się, że zadosyć uczyniłam wszystkim obowiązkom moim przy stoliku od herbaty; a ponieważ wieczór jest tak piękny, niechaj *Una* zaprowadzi Pana do ulubionego przeze mnie miejsca, gdzie ja i *Cathleen* wkrótce przybędziemy.“

Una odebrała inne jeszcze zlecenia w języku rodowitym, a potem wyprowadziła

Wawerleja nie temi drzewiami, któremi wszedł do pokoju Miss Flory. Choć już w znacznej odległości, słyszał jednak rozchodzące się z dworu naczelnika klanu odgłosy piszczałek, i huczne gości oklaski.

Tajemnemi drzewczkami dostawszy się na otwarte powietrze, postępowali w górę wąską ścieżką, przez nierówną, chłodną i ciasną dolinę, wśród której dwór się znajdował, w kierunku przerywającej ją rzeki. O ćwierć mili od zamku, przybyli do miejscy, gdzie dwa zbiegające się potoki małą rzeczkę tworzyły. Szerszy strumień, wpadał z góry w długą niezarośłą dolinę, która jak się zdawało, bez żadnej gruntu odmiany i podniosłości, naprzód w taką dał się rozciągała, jaką dwa ograniczające ją rzędy pagórków oku zająć pozwalały. Drugi zaś potok mający swe źródło w górach po lewej stronie doliny, zdawał się wytryskiwać z wąskiej, posępnej otchłani między dwoma ścianami skalnymi. Dwa te strumienie odmienny stawiły widok. Pierwszy płynął spokojnie, tocząc nurt głęboki, który się w dali ciemno-błękitną rozlewał wstęgą. Drugi zaś rwisty, burzliwy, pieniać się i hucząc z skalnych wydierał się rozpadlin, jakby szaleniec z więzów. Ku ostatniemu zbliżał się nasz rycerz romantyczny w towarzystwie pięknej milczącej góralki. Wąska ścieżka, tu i ówdzie dla Miss Flory wydeptana, prowadziła go okolicą,

całkiem różną od owéj, gdzie się przed chwilą znajdował. Koło zamku chłodny wiatr powiewał, wszystko było obnażone, spustoszałe, w tém nawet osamotnieniu jednakie, martwe; ta zaś wązka dolina lubo tak bliska, zdawała się do romantycznej prowadzić krainy. Skały przybierały tyśiączne, odmiennie postacie. Tu nad ogromnym złomem, olbrzymie popiętrzyły się masy, jakby dla wzbronienia bliższego przystępu wędrowcowi; dopiero przy samém onych podnożu, postrzegł Wawerlej nagły zakręt, pod ostrym kątem, koło tych potężnych mass załamanej ścieszki. Tam, z obu stron ścian skalnych naprzód wyskakujące haki tak dalece ku sobie się zbliżyły, iż położone na nich dwa pnie jodłowe pokryte torfem, niezgrabny tworzyły pomost nad przepaścią stu pięćdziesięciu stóp; most, ten ledwie na trzy stopy szeroki, żadnych nie miał poręczy.

Dziwiąc się Wawerlej tej niebezpiecznej przeprawie, która nakształt czarnej taśmy przecinała mały łuk powietrznego błękitu, niezupełnie ostonionego sterczącami skałkami, postrzegł z strachem Florę i jej towarzyszkę, jak mieszkanki wyższej krainy, na tym mostku wątlym, w powietrzu bujającym. Flora zatrzymując się na środku dla uważania Wawerleja wgłębi, powiewała chustką ku niemu. Dostając niemal zawrotu głowy, nie mógł Edward po-

witać jęj wzajemném pozdrowieniem, i nigdy swobodnięj nie odetchnął, jak w owęj chwili, kiedy piękne zjawisko schodząc z niebezpiecznej wysokości, na drugięj zniknęło stronie.

Postąpiwszy kilka kroków naprzód, przebiegł Wawerlej miejsce pod mostem, na który z takiem poglągał przerażeniem. Z tąd w górę ciągnęła się ściężka od brzegu strumienia; a rozprzestrzeniający się przesmyk stawał oku widok leśnego amfiteatru, gdzie wśród gęstwy brzozek, młodych dębów i krzaków leszczyny, tu i owdzie odłączne wznosiły się cisy. Skały niknęły po więkkszej części w głębi sceny; zawsze jednak, ich szare gębate grzbiety z gęstych wybiegały zarosli. Wyżej jeszcze niknęły w powietrzu szczyty i iglaste wierzchołki w części obnażone, po części zarosłe krzakami; tu zaokrąglone, i szkarłatnym jaśniejące wrzosem, tam na urwiska, i skalne poroszczepiane wysoki. Tą samą ściężką w znacznej już od strumienia odległości, okrążając Wawerlej mały obwód, z nie nagła stanął nad romantycznym wodospadem. Nie tyle on zdumiewał wysokością spadku, albo obfitością wody, jako raczej pięknemi otoczeniami, które temu miejscu miłego użyczały wdzięku. Strumień, zbiegając z wysokości niemal dwudziestu stóp, załamanej kilkakrotnie na progi i stopnie, wylęwał się do obszernego naturalnego wo-

dozbioru, i tenże pod sam wierzech wypętniał. Gdzie pianę nowe rozbijały fale, woda była tak przezroczysta, iż mimo znaczną głębokość, oko każdy kamyk dostrzeżało. Strumień, okrążywszy obwód tego wydrażenia, wylęwał się na zewnątrz, przez rozerwaną groblę, i tworząc drugi spadek, teraz dopiero w właściwą rzucający się przepaść, pędził śród śliskich, czarnych skał, które przez wieki obmywał; z tamtąd narzście lecąc z szumem przez dolinę, zamieniał się w ową rzekę, na której brzegu Wawerlej stanął przed chwilą. Sliczne rozwijały się widoki naokoło tego romantycznego wodospadu; ale piękność okolicy, bardzięj jeszcze unosiła wspaniałością swoją, niemal wzniosłością! Ogromne urwiska skał, przerywały pokłady darniny mchem okryte; zdobiły je w wielu miejscach drzewa ludzką ręką posadzone, jak twierdziła Flora, lecz tak ostróżnie, że przyczyniając wdzięków miejscowemu położeniu, nie szkodziły bynajmnięj romantycznęj jego dzikości.

Tu spotkał Wawerlej Florę, z kształtu podobną jednę z cudownych postaci krajobrazów *Poussina*, przypatrującą się spadkowi wody. O dwa kroki za nią stała *Cathleen* trzymając w rękę małą szkocką arę, na której nauczyła się grać Flora od Rory Dalla, ostatniego arfiarza zachodnięj strony górnego kraju. Słońce, które już teraz

ku zachodowi się opuściło, przystrajając w najrozmaitsze barwy wszystkie przedmioty otaczające Wawerleja, zdawało się używać czarnym przenikliwym oczom Florry, nadziemskiego blasku; lica jej zajaśniały czystszy, czarowniejszym powabem, a cała postać doskonalszego nabrała wyrazu. Zdawało się Edwardowi, jakoby mu imaginacja jego, w żadnym i najfantastyczniejszém widzeniu, tak cudownej nie stawiała urody! Dzika piękność tego ustronia, jakoby sztuką czarodziejską wywołanego, podwyższała uczucie, rozniecała zachwycenie, wrażała poszanowanie, z jakim się ku niej zbliżał: ku niej, podobnej ślicznej wróżce Bojarda lub Arjosta, na której skinienie powstały wszystkie wokoło przedmioty, i ten nawet rokoszny Eden, śród dzikiej pustyni.

Czuła Flora, jak każda piękna kobieta, moc wdzięków swoich; cieszyła się, że taki skutek czyniły; postrzegała to w nieśmiałości, w zajęciu młodzieńca. Atoli dobre jej serce przypisywało część, tak wyraźnie objawiających się uczuć Wawerleja romantycznemu położeniu i innym przypadkowym okolicznościom, a nie znając jego fantastycznego, i żadnymi prawidłami nieokręślonemu charakteru, uważała dowody jego poszanowania, za hód małoważny przemijający, któryby każda kobieta mniej nawet powabna w tak czarującym ustroniu

otrzymać mogła. Spokojnie więc zaprowadziła go na miejsce, od którego wodospad wtakiej zostawał odległości, że szumem swoim bardziej uprzyjemnił jej głos i dźwięk arfy, niżeli stłumił był zdolny; a usiadłszy potem na skale mchem porostej, wzięta do rąk arfę od *Cathleeny*.

„Zniewoliłam Pana do tej uciążliwej przechadzki, już dla samych tak pięknych położzeń miejscowych, już dla podwyższenia wartości niedoskonałego przekładu pieśni goralskiej, które wdzięczniej się wydadzą śród dzikiego ustronia. Siedliska muz, że się wyrażę poetyckiem wystowieniem naszego kraju, szukać należy w mgle samotnego wzgórza; śpiew jej brzmi z szumem górnego zdrojowiska; kto chce się jej poświęcić, niechaj więc kocha nagą skałę, niżeli urodzajną dolinę, niechaj samotność pustyni przeniesie nad rozrywki spółeczne.“

Rzadko, kto, słysząc co Flora mówiła, byłby się wstrzymał od wyznania, że muza, którą zwała, w niej samą najdoskonalszą znalazła reprezentantkę. Taka myśl wpadła do głowy Wawerlejowi, lecz objawić jej nie miał śmiałości. Co większa; uniesienie romantyczne, na odgłos pierwszych akordów, które ze swego muzycznego wywabiła naczynia, tak dalece zajęło całą duszę jego, że prawie boleśnego w sercu doznawał cierpienia. Za nic w świecie

nie odstąpiłyby miejsca swego obok Flory,
a jednak tęsknił do samotności!

Zamiast rozmierzonych, jedno-tonnych
recytatyw barda, zanuciła Flora wzniosłą,
i nie powszednią pieśń, wojenną starożytną.
Od kilku niemiarowych akordów, zaczęła
się ta dziwna, pierwotworna melodia, któ-
ra z szumem oddalonego wodospadu, i śta-
godnym powiewem wieczornego wiatru, ko-
łyszącego liście czarnej topoli, doskonałą
tworzyła harmonię. Następne wiersze sła-
bym tylko będą odcieniem uczuć i wrażeń,
jakie śpiew i śpiewaczka, wzniewały w ser-
cu Edwarda:

Tuman wzniosł się na góry, noc spadła w doliny,
Ale snem niespokojnym spią Gaela syny,
Cudzoziemiec panuje, i kraj gwałtem nęka,
I serce bić przestało, i zdrętwiała ręka.

Na tarczach, na rynsztunkach ćmiące pyły
leżą,
Rdzewieje miecz nie zmyty krwią najezdców
świeżą;

A jeśli dolina wzgórkom strzał doniesie,
To strzał łowca do sarny, do jelenia w lesie.

Kiedy chwałą pradziadów zabrzmi barda pienie,
Karę jemu i hańbę ślijmy w dziękczynienie,
Niech stróny popękają, niech się zgnęzą tony,
Co zanuć o chwale, o dawno minionéj!

Przecie północne mroki i sny nocne pierz-
chły,
Pozdrowił nasze góry poranek rozmięrczły,

Czoło Glenafadalu w złotym ogniu błyska,
Potoki Glenafinanu szumią przez pastwiska.

Muraju wielkiej duszy! wygnańcze! o czemu
Nie rozpuszczasz chorągwi wiatrowi rannemu?
Daleko ją zatknąłeś w północnej ziemi,
By jaśniała jak promień z mroku nawałnicy.

Wamże synowie bitew z przebudzoną zorzą,
Wamże to arfy starców gościniec otworzą?
Nigdy waszych ojców nie ubiegło rano,
Kiedy szli za hetmanem po śmierć, lub wy-
graną.

Syny rodu co w Islaj potężnie roskwita,
Głowy Klanów Banalda, Glengari i Slita,
Jak trzy strumienie jednéj lodowatej skały,
Pędźcie z sobą do grobu te wrogów nawały.

O synu Sir Ewana, Lochielu wrzący!
Wdzięwaj puklérz na barki, chwytaj oręż lśniący,
Ty rycérski Keppochu, zadzwóń w róg do szyku,
Niechaj to hasło śmierci dojdzie Karyaryku.

Synu Kenneta, głowo Kintajłów plemienia,
Wypuść na wiatry swojej chorągwi jelenia,
Waleczny niestrwożony Gilleanu Klanie,
Pomnij o Glenliwacie, Dundzie i Arlanie!

Bure plemię Pingona, co słyniesz po ziemi
Tytu bohaterскими synami swojemi,
Siadajcie z walecznemi dziećmi Rory-More,
Siadajcie żywo śmiało w łódki wasze skore!

Jak Mac - Szymaj rad będzie, gdy wodza po-
strzeże,
Co siwą głowę liściem dębowym ubierze,

Glenkoe i Alpine jak zemsty zażąda,
Gdy pierwszy krwawy taniec z wrogami
ogłada.

Idźcie syny Dermida, co pokonał dzika,
Wierni jak Kallaj-Moore, gdzie mieczów
muzyka,
Do boju Mak-Nejlu i zamorski Moju!
Zemsta za cześć, za wolność, do boju! do
boju!

Tu z pobliskich krzaków wyskoczył wielki wyżeł, i przerwał śpiew Flory. Za dalekim poświstem, obróciwszy się, jak strzała tą samą poleciał drogą. „Jest to Fergus” rzekła Flora, „wierny towarzysz; jego to był znak. Jemu podobają się humorystyczne tylko poezye; w samą porę nadchodzi przerwać długi wywód rodów, o których, jeden z angielskich poetów, tak żarliwie się wyraża:

„Mac-Kenzy, Mac-Gregory, Mac-Leany!
Wszystko to wielkie, bez butów są pany.“

Wawerlej ubolewał że końca śpiwu nie usłyszy.

„O! ledwie zgadniesz kapitanie,“ rzekła Flora, „jaką poniosłeś stratę! Bard bowiem, wdalszym ciągu, wymierzył trzy długie strofy, do Wich Jana Wohra, i do obecnych rycerzy, wyliczając wszystkie jego cnoty, a pomiędzy niemi i tę, że śpiewaka hojnie obdarza. Nazwał on go rozdawcą wspaniałych darów. Potem słyszałbyś Pan ode-

zwę powołującą do dzieł *syna cudzoziemca*, z pięknie utrefionym włosem, który żyje w kraju, gdzie darń wiecznie się zieleni; jezdca na świetnym, dzielnym koniu, kruczej maści, którego rżenie brzmi, jak wrzask orła w bitwie. Tego tedy dzielnego jezdca bard zaklina, żeby zawsze pamiętał, iż przodkowie jego wstawili się wiernością, i przywiązaniem ku prawemu monarsze, i mgstwem swoim. Tego wszystkiego Pan nie słyszałeś; a toli, jeżeli ciekawości jego nie stało się jeszcze zadosyć, sądzę z dalekiego poświstu mojego brata, że dość czasu będę miała odśpiewać zakończenie, nim on przyjdzie śmiać się z mojego przekładu:“

W górach na wyspach każdy bądź gotowy,
Wy dzieci wyżyn, wy dzieci z nad wody,
Już róg was woła, woła nie na łowy,
Woła piszczałka, woła nie na gody;

Na śmierć lub tryumf wołają rycerzy,
Gdzie sztandar wschodu rumieńcem już płonie,
Do tarcz, do mieczów niechaj każdy bieży,
Na pole bitwy, na skrwawione błonie.

Niech się wódz duchem Fingala rozpali,
Niech krew po żyłach wpożar się zamienia
Lub złomcie jarzmo, jak ojce łamali,
Albo poleżcie i skończcie cierpienia.

ROZDZIAŁ X.

*Wawerlejowi podoba się dtużej zostać
w Glennaquoich.*

Gdy Flora śpiewać przestała, nadszedł Fergus. „Wiedziałem,“ rzekł, że i bez pomocy mojego przyjaciela *Brana*, tu was znajdę. Tak skromny, prosty gust, jak mój naprzykład, możeby przeniósł Wersalski *jet d'eau* nad tę kaskadę, z wszystkimi jej ozdobami, jako to: skałami, i szumem, lecz to jest *parnass* Flory, kapitanie Wawerleju! a to źródło, jej to *Helikon*! Nie mało skorzystałaby moja piwnica, gdyby Flora swego pomocnika *Mac-Murrougha* przekonać zdołała, o nadzwyczajnej skuteczności tego źródła. Właśnie wypił on kufel wódki zaprawionej korzeniami, dla rozgrzania, jak mówił, żołądka oziębionego kłarettem. Pozwólcie, żebym sam doświadczył mocy tej wody.“

Zaczerpnąwszy nieco wody pełną gar-

ścią, natychmiast jakby w uniesieniu tak zaczął mówić z teatralną gestykulacją:

Stawa tobie dziewico na urwisku skały,
O tkliwa przyjaciółko *gealickiej dumki*,
Upodobałaś sobie kraj tak doskonały,
Ze wzrok mój nie mógł nigdy dojrzeć w nim
i stonki.

Lecz angielska poezycja, nie chce zakwitnąć na szkockim *Helikonie*; *Allons courage!*

O vous, qui buvez á tasse pleine,
A cette heureuse fontaine,
Ou on ne voit sur le rivage,
Que quelques vilains troupeaux,
Súivis de nymphes de village,
Qui les escortent sans sabots.“

„Przestań luby bracie! uwolnij nas od tych nieznośnych, płacziwych figur *Arkady*. Dla Boga! nie wprowadzaj tu ani *Korrydona*, ani *Lindora*.“

„No! jeżeli ci się niepodoba *la houlette et le chalumeau*, to spróbuję wlecić heroicznym lotem.“

„Zdaje mi się kochany *Fergusie*, że ciebie natchnął napój *Mac-Murrougha*, a nie źródło moje.“

„Protestuje się przeciwko temu *ma belle demoiselle!* twierdząc jednak, że napój jego nierównie skuteczniejszy do rozniecenia poetyckiego zapału. Któryż to z twoich szalonych romantyków włoskich, mówi. *Jo d'Elicon* niente

Mi curo, in fé de Dio, chél bere d'acque
(Bea chi ber nevuol) sempre mi spiacque!

(Na Boga nie chcę słyszyć o tym Helikonie,
Zawsze ja, zawsze ja, zawsze zimméj nie lubiłem wody,
Kto jój zechce ustąpię bez żadnej nagrody).

„Jednak kapitanie Wawerleju, jeśli ci się
lepiej podoba śpiew gaelicki, jest tu śliczna
Cathleena; ta ci zaśpiewa *Drimmindhu*. Choć
tu Cathleeno, *astore* (moja luba). Śpiewaj!
nie zważaj nic na cudzoziemca.“

Cathleena żywo odśpiewała małą pieśń,
żartobliwym rymem wyrażającą bolesć wie-
śniaka po stracie krowy. Komiczna melo-
dyja téj pieśni kilkakrotnie rozśmieszy-
ła Wawerleja, choć nie rozumiał języka.

„Doskonale *Cathleeno!*“ zawołał Fer-
gus, „wyszukam ci na męża najładniej-
szego chłopca z klanu.“

Cathleena rozśmiała się, i zapłoniona
skryła za drugą pannę Miss Flory.

Gdy razem wracali, naczelnik klanu
usilnie prosił Wawerleja, aby tydzień, lub
dwa tygodnie zatrzymał się w Glennaquo-
ich do wielkich łowów, które razem
z okoliczną szlachtą wyprawić zamysłał.
Śpiew i wdzięki tak dalece uwikłały serce
Wawerleja, że nie mógł wymówić się od
tego przyjemnego zaproszenia. Przystał
więc na projekt, żeby barona Bradwardi-
ne zawiadomić listownie, iż jeszcze czwór-
naście dni zabawi w Glennaquoich, i zara-

zem prosić go, aby przez oddawcę (*gilli*,
służącego) przysłał mu wszystkie listy,
jeżeli jakie pod jego adresem odbierze
w Tully-Weolan.

To zwróciło uwagę rozmawiających na
barona. Fergus, wystawiał jego obywatel-
skie i wojskowe przymioty. Dokładniej je-
szcze wystawiała jego charakter Flora, mó-
wiąc: jakoby był prawdziwym wzorem ka-
walera starej Szkocyi, ze wszystkimi, ja-
kie to kawalerstwo znamionowały, cnota-
mi, i jemu tylko właściwą szczególnością,

„Charakter taki, kapitanie,“ rzekła da-
lój „z każdym dniem u nas staje się rzad-
szy; bowiem, jego główną zasadą było u-
czucie honoru, który dotychczas miano
na względzie. Teraz zaś, za naszych cza-
sów, obywatele nie nadskakujących rządo-
wi, podają w wzgardę, pośmiewisko; i już
nie jeden, postępowaniem swoim rzeczy-
wiście zaczyna na to zasługiwać. Poznałeś
Pan kilku w Tully-Weolan, których o-
byczaje nie odpowiadają ani ich urodze-
niu, ani wychowaniu. Pogńębienie jednego
stronnictwa, zdaje się poniżać, aczkolwiek
niesprawiedliwie, wszystkie ofiary tém nie-
szczęściem dotknięte. Lecz miejmy nadzie-
ję, że w krótcie lepsze czasy przyjdą, kiedy
szlachcie będzie mógł być uczonym, bez
pedantyzmu naszego przyjaciela Bradwar-
dine, rolnikiem bez gminnych nałogów
Pana Falkonera, nakoniec przemysłnym,

roztroprnym gospodarzem bez wieśniaczego prostactwa tego dwunożnego wołu *Killankuraita*.“

Tak przeczuwała Flora zmianę rzeczy, którą czas rzeczywiście zrządził, ale nie takim, jak się w jej głowie roziło, sposobem.

Przyszła następnie kolej na kochaną Różę, o której z największemi wspomniano pochwałami, co do urody, obyczajów, i serca. „Kto potrafi zyskać serce Róży“ rzekła Flora; „kto będzie tak szczęśliwy, że ona go pokocha; posiadzie w niej skarb nicoszacowany. Myśl jej nigdy nie wybiega za zakres domowego ustronia; ciche jej cnoty w rodzinnej doskonała się osiadłości, w domu. Tym kiedyś będzie mąż dla Róży, czym dzisiaj jest ojciec: jedynym przedmiotem jej starań, przywiązania, troskliwości. Dla niego ona tylko żyć będzie; z nim podzieli wszystkie upodobania. Jeżeli jej los zdarzy męża cnotliwego, tkliwego; z nim razem i cieszyć i smuć się będzie. Jeśli zaś dostanie się nieczułemu, zimnemu człowiekowi; to i w takim razie do jego się życzeń zastosuje, choć nie długo: bo nie przeżyje niewzajemności. Niestety! jakże łatwo takie nieszczęście z życzenia losu, na moją przyjaciółkę przypaść może! Czemuż nie jestem w tej chwili królową, czemuż nie mogę rozkazać najmilszemu młodzieńcowi mojego państwa,

żeby szczęście swoje odebrał z rąk Róży Bradwardine.“

„Nie mogłabyś jej rozkazać,“ rzekł Fergus śmiejąc się, „żeby *en attendant* moją rękę przyjęła?„

Nie wiem dla czego to od niechęcenia żartobliwie objawione życzenie, boleśnie dotknęło Edwarda, choć kochał Florę, choć był tak obojętny dla panny Bradwardine. Jest to jedna z tych tajemnic ludzkiej natury, do których my nigdy przeniknąć nie zdołamy!

„Twoją bracie?“ rzekła Flora, wpatrując się weń przenikliwem okiem, „nie: kto inny jest twoją oblubienicą,—honor; a niebezpieczeństwa, na które musisz się narazić dla usunięcia współzalczyków w tym zawodzie, zakrwawiłyby serce biednej Róży.“

Tak rozprawiając przybyli do zamku. Wawerlej pospieszył z napisaniem listów do Tully-Weolan. Wiedząc, że Baron ściśle przestrzegał prawideł heraldycznych, chciał zapieczętować list herbową pieczęcią; lecz nie znalazłszy takowej przy zegarku, prosił Fergusa żeby mu swojej pożyczyl. Mniemał Edward, że pieczęć rodowitą zapomnieć musiał w Tully-Weolan.

„Niewątpliwie“ rzekła Miss Mac-Iwor, „nie sądzę bowiem, żeby Donald Bean, Lean.....“

„Życiem mojem ręczę za niego w podo-

bnych wypadkach“ odpowiedział jej brat, „a wreszcie byłby wziął razem z pieczęcią i zegarek.“

„Niechże i tak będzie; pojąc jednak nie mogę, dla czego ochraniaś takiego człowieka?“

„Ja go ochraniać? jak widzę, ta moja kochana siostra, wykieruje mnie nakoniec na spółnika Donalda; wmoi w kapitana Wawerleja, że pobieram *Steakraid*, to jest złodziejską dziesięcinę, albo jaśniej się wyrażając, że z łotrami łupem się dzielę. Jeżeli tedy nie znajdę hanulca na wielomówstwo panny Flory, ręczę, że wkrótce, Generał Blackeney pośle oddział żołnierzy z Sterling (to rzekł z dumą i posmięchem szyderskim) aby mnie, Wich-Jana-Wohra, jak mię tu zowią, w moim własnym uwięzić zamku.“

„Fergusie! czyż nasz gość nie postrzeże, że od rzeczy mówiłeś? Masz dosyć ludzi na twoje rozkazy! potrzebaż ci jeszcze, utrzymywać na własnej ziemi bandytów? czyż to nie splami twego honoru? Czemuż nie wypędzisz tego Donalda Bean Lean, którego obłudą i dwu-wykładną mową bardziej się jeszcze brzydzę, niżeli łotrostwem! Niechy mnie nie zmusiło do poślązania takiemu człowiekowi!“

„Nic Floro?“ rzekł naczelnik z przyciskiem.

„Nic Fergusie! nawet i to nie, co jest najdroższe mojemu sercu. Niech cię Bóg strzeże od takiej pomocy!“

„Ależ luba siostrze,“ odpowiedział wesoło Fergus, „nie masz żadnego względu na wyrozumiałość moją *pour la belle passion*. Ewan Dhu Maccombisch szalenie się zakochał w córce Donalda, Alexji; nie zechcesz przecie, abym stawał na przeszkodzie jego miłośnikom. Cały Klan odsądziłby mnie od czci i wiary. A wiesz przypowieść naszą, że krewny jest częścią ciała, a brat mleczny, częścią serca.“

„Niechaj i tak będzie Fergusie! z tobą nikt nie wygra; lecz szczerze pragnę, aby to wszystko dobrze się skończyło.“

„Pobożne życzenie, Moja kochana wróżko! masz wysmieniony sposób roztrzymania wątpliwych sporów. Lecz, czy nie słyszysz kapitanie odgłosu piszczałek? możebyś wolał tańczyć w salonie, niżeli słuchać tej odurzającej muzyki, bez żadnego udziału w skokach, do których zachęca?“

Wawerlej wziął rękę Flory. Taniec, śpiew, ochota, zakończyły rozrywki pierwszego dnia w zamku Wich Jana Wohra. Odszedł nakoniec Edward. W sercu jego rozmaite walczyły uczucia. Był on w tym lubym stanie, kiedy fantazyja nad wszystkimi innymi władzami duszy przewagę bierze, a myśl ludzka niepohamowanym wzbija się lotem. Późno dopiero usnął. Sniła mu się Miss Mac-Iwor.

ROZDZIAŁ XI.

Polowanie na jelenie, i tegoż skutki.

Jakiżto będzie rozdział? czy długi, czy krótki?— Pytanie to, pod roztrzygnięcie twoje, mój zaćny czytelniku żadną miarą wytoczyć się nie może; choćbyś i najciekawiej wiedzieć zapragnął co dalej nastąpi? Tak samo prawie nic tobie, jako i mnie do podatku nowo nałożonego, z którym ta cię tylko drobna, poboczna wiąże okoliczność, że go zapłacić musisz. Z tego atoli względu, obadwa w naszej niniejszej sprawie nierównie jesteśmy szczęśliwsi, że ja, choćby mi się i najbardziej tę powieść rozszerzać podobało, nie obłożę cię jednak groźnym pozwem do skarbowego trybunału (*Exchequer*), gdybyś jej czytać nie chciał. Przetoż, z przeproszeniem twojem, dalej postąpię w tej uwadze. Prawdą jest szczerą, że roczniki i dowody, jakie się w moich rękach znajdują, rzadką wzmiankę o tych łowach czynią; wszakże mógłbym skreślić ich obraz z rozlicznych innych opisów tego

rodzaju. I tak naprzykład: mam przed sobą dzieło starego *Lindsaja* z *Pitscottie*, razem z jego *Athole hunting* (*), i z belek poprzecznych spojonym pałacem z zielonego budulcu (**); opatrzonym we wszelkie rodzaje napojów, jakich tylko w mieście i na wsi dostać można, a jakimi są: *Ale*, piwo, wino, muszkatella, małowazy, hippokras (wino korzeniami zaprawne) i akwawita, z pszennym i żytnim chlebem, plackami, pieczenią cielęcą, wołową, baranią, jagnięcą, skopowiną, zwiierzyną, kapłonami, gęsiami, królikami, łabędziami, żorawiami, kuropatwami, czajkami, głuszcami, jarzabkami, bekasami, i t. d., nie przemilczając wygodnego posłania, kosztownych naczyń i stołowego nakrycia; naostatek usługnych piwnicznych, biegłych kucharzy, cukierników i tychże konfitur, i innych przysmaków na wety. Kromi tych szczegółów ku urozmaiceniu opisu góralskiego bankietu (a okazałość takowego wyprowadziła pewnego legata papieskiego z błędu: jakoby Szkocya była ostateczną światła kończyną), prócz tych szczegółów mówię, mógłbym ozdobić dzieło moje

(*) Wyraz ten łowiecki oznacza monografię rozmaitych zwierząt leśnych.

P. W. Polsk.

(**) To jest tytuł książki łowieckiej.

P. W. Polsk.

polowaniem *Tajlora*, wodnistego poety,
na równinach Maru, gdzie

Po wrzosach, po trawnikach, przez mchy torfo-
wiska,

Po wiszarach, po szczytach o które błysk pryska,
Za jeleniem, za capem psy i strzelce gonią,
Nim ujdzie dwie godziny po ośmdziesiąt zgonią!
Padole! twoje łowy, jak i ty są niskie,
W górach tylko ochota i serce myśliwskie.

Lecz nie będę dłużej dręczył czytelnika
rozwodzeniem się z mojami rozległemi
wiadomościami w tym względzie; przyto-
czę jedno tylko miejsce z łowów opisanych
w *próbcie kaledońskiej lutni* Pana Guns...;
poczém znowu uchwyć nie przerwanej
powieści, prowadząc rzecz moją ku koń-
cowi z tą zwiężłością, jaka jest właściwa
mojemu stylowi, mającemu w części to do
siebie co uczeni zowią *peryfrastycznością*
i *ambagitorycznością*, a co gmin nienczo-
ny pozwoli sobie ochrzcić rozwlekłością,
circumbendibus.

Dla różnych przyczyn ledwo we trzy ty-
godnie po przybyciu Wawerleja do Glen-
naquoich przypadło to uroczyste polowanie.
Czas ten upłynął Edwardowi najprzyjem-
niej; ponieważ Flora codziennie mocniej-
szą ponętą serce jego ku sobie ciągnęła.
Ona była prawdziwie ową istotą, mogącą
usidlić młodzieńca z romansową imagina-
cją. Jej ułożenie, mowa, talent muzykal-
ny i poetycki, coraz więcéj mocy przyda-

wały wdziękowi jej cudnej urody. Fantazyja
Edwarda wywyższała ją nad wszystkie ziem-
mianki, nawet w wesołych rozrywek igra-
szce; mniemał on, jakoby Flora przez
chwile tylko, zwyczajne pęci swojej dzie-
liła zalety, owę uprzejmości w rozmowie,
i grzeczności, którym inne całe życie swo-
je poświęcają. Poranki w Glennaquoich
zbiegały na myśliwskiej ochocie, muzyka
i taniec wieczorne zapełniały godziny.
Codziennie szczęśliwszy był Wawerlej
w bliskości téj czarownicy; coraz większe
znajdował upodobanie w domu tak gościnnym;
coraz dalej wikał się w sieć nigdy
nierozzerwaną powabów siostry otwartego
gospodarza, téj tak mamiącej, tak ładną-
céj dziewczyny!

Nadszedł wreszcie dzień wielkiego po-
lowania. Wawerlej pojechał z naczelnikiem
klanu na miejsce powszechnego zboru
strzelców, w północnej okolicy Glenna-
quoich. Orszak Fergusa zamykał tą razą
przeszło trzechset plemienników rodzin-
nego klanu, z których każdy, jako mógł
najlepiej wbroń, i we wszelkie opatrzył
się potrzeby. Przypadł do smaku Wawer-
lejowi obyczaj krajowy; przywdział on
z ochotą góralskie spodnie w paski, dre-
wniane trzewiki, i czapkę; z fartuchem
tylko obéjść się nie umiał. Strój ten naj-
właściwszy dla myśliwego, ułatwiał wszel-
kie poruszenia ciała; oraz nie wystawiał

Wawerleja na cel ciekawej rzeszy, któraby się z zadziwieniem przypatrywała cudzoziemcowi za przybyciem do oznaczonego miejsca. Zastali oni już tam kilku możnych naczelników, z którymi Fergus zapoznał Wawerleja; wszyscy serdecznie go przywitani. Wazalowie ich, i mężowie klanu, których Lenny obowiązek zniewalał do odbywania łowów razem z przełożoną starszyzną, zebrali się w liczbie wyrównywającej niemal małemu wojsku. Ci ochotni pomocnicy rozbiegłszy się i tu i tam po całej okolicy, tworzyli między sobą łańcuch, technicznym językiem myśliwców zwany *Tinchel*, który zwijając się w koło coraz ciasniejsze, pędził przed sobą zwierzyne całemi stadami, ku środkowi doliny, gdzie się uszykowali naczelnicy klanów i najbardziej strzelcy. Atoli przed wykonaniem tego wielkiego obrotu, starszyzna myśliwska zażywała dobrej ochoty na kwitnącym wrzosie; niektórzy zawinawszy się w płedy odpoczywali; a nocleg taki szczególniej w tej porze, nie zdawał się nieprzyjemny Wawerlejowi.

Już od kilku godzin zeszło słońce; wzgórze, jary, łąki zajmowały oko spaniałym widokiem samotnej, i dzikięj w tych miejscach natury. Głuche panowało milczenie. Starsi i ich towarzysze posilali się tymczasem rozmaita strawą; nie zbywało i na ochocie *muszlowej*, jak u Ossyana.

Inny znowu oddział zasiadł opodal na wzgórzu—o czémże prawią? Zapewnie o polityce i o nowościach, jak duchy Milтона o metafizycznych zagadkach. Nakoniec ozwały się pierwsze zaczętych łowów odgłosy. Dalekie strzały z jednych do drugich dolin się rozlegały; występują górale w rozlicznych oddziałach; jedni wdzierają się na skały, drudzy nikną wleśnej gęstwie, inni wpływ przebywają potoki, wszyscy coraz ściślej skupiając się, coraz ciasniejszym otaczają kregiem zatrwożonego, z siedlisk ruszonego zwierza. Coraz gęstsze wystrzały ognistej broni tysiączne powtarzały echa. Psy góńcze, spuszczone ze sfory zwiększyły wrzawę szczekaniem. Naostatek ukazały się pierwsze gromady jeleni; a gdy po dwóch, albo samotrzeć umykają doliną; naczelnicy bystrym okiem co najtłuszciesze rozeznając, niechybnie zmiatali je strzałami. Fergus najlepiej się popisował; ale i Edward nie jednym zręcznym strzałem zyskał pochwałę strzelców.

Teraz wysypał się z gardła jaru główny oddział jeleni; ciasnym postępowali rzędem, formując tak groźny falanx, że w niejakiej odległości nad spadzistym przesmykiem, skrzydła ich podobne były ogołconemu z liścia lasowi krzaków. W mnogiej ukazali się liczbie; z groźnej postawy uszykowanych jeleni w pewien porządek

bojowy, którego czoło zajmowały najroślejsze i najdzielniejsze, toż z wzroku, który utkwili w przeciwników swoich, zamykających im drogę przez dolinę, doświadczeni strzelcy wielkie przewidywali niebezpieczeństwo. Rozpoczęła się tymczasem ze wszech stron sprawa zniszczenia. Psy i myśliwi skrzętnie się uwijali; gęsto strzelano na wszystkich punktach. Nakoniec jelenie przywiedzione do rozpaczycy rzuciły się obcassowo całą gromadą na stanowisko, zajęte przez najznakomitszych strzelców. Dano znak gaelickim językiem położenia się na ziemi; lecz Wawerlej nie zrozumiałwszy tego hasła, tylko co nie padł ofiarą nieznamości starego szkockiego języka. Postrzegł to niebezpieczeństwo Fergus, i poskoczywszy obalił przemożną siłą gościa swego na ziemię téjże chwili, gdy całą gromada jeleni na nich się rzuciła. Niktby takiego nie wytrzymał natarcia, aże rany zadane jeleniami rogami zawsze prawie bardzo są niebezpieczne, rzeczywście więc Wawerlej życie swoje był winien zręczności naczelnika klanu. Przytrzymał on go silną prawicą przy ziemi, póki cała czereda na drugą nie przeskoczyła stronę. Dopiero chciał Wawerlej wstać z miejsca; nie mógł atoli dokazać tego, dla nieznośnego bólu. Z dalszego opatrzenia pokazało się, że nogę wywichnął.

To popsuło dobrą myśl strzeleckiego zboru; aczkolwiek górale, oswojeni z takimi przypadkami, toż ledwie nie z pewnością wiedzący, że co chwila zdarzyć się mogą, sami tą razą żadnego szwanku nie ponieśli. W oka mgnieniu sporządzono szałas, gdzie Wawerlej na wrzosowem postłaniu złożony został. Chirurg, a raczej ktoś tę powinność sprawujący, czémprędzej pospieszył z pomocą zarazem i lekarską i guślarską. Był to stary, okopcony góral z czcigodną siwą brodą, w zwyczajnym odzieniu, to jest w płaszczu kolistym tartanowym, sięgającym po kolana, z przodu nie rozciętym. Poważnie zbliżył się do swego pacjenta; a choć nasz bohater najdotkliwiej cierpiał, żadną jednak miarą nie chciał usmierzyć jego bólu, aż po trzykrotném obejściu łoża od wschodu ku zachodowi, wedle biegu słońca. Zwano to *Deasil*; sam lekarz i obecni zdawali się przypisywać téj praktyce najważniejsze skutki; a Edward dla wielkiego bólu i słowa rzec nie mogąc, poddał się w milczeniu obrządkom guślarskiego misterstwa.

Odprawiwszy tę ceremonię, postawił stary Eskulap nader zręcznie banki Edwardowi, podczas téj roboty ciągle coś mrucząc po gaelicku i warząc na ogniu pewne zioła, z których sporządził masę do wcięcia. Potém naparzył rozbolełe członki

odmawiając bezprzestannie modlitwy, czy czarnoksiężkie zaklęcia; albowiem o uszy Wawerleja, jednych od drugich rozróżnić nie mogącego, te tylko objały się wyrazy: *Kasper-Melchior-Balthazar-max-prax-fax*, i inne cygańskie wystawienia. Naparzenie prędko skutek sprawiło; ból ustał, napuchnienie rozeszło się. Nasz bohater przypisywał to w części uzdrawiającej mocy ziół, w części zaś działaniu ciepła; lecz obecni jednomyślnie przyznali, że same zaklęcia uczyniły tak prędką odmianę. Oznajmiono Wawerlejowi, że te wszystkie zioła w czasie pełni księżyca były zbierane, tudzież, że botanik zrywając je, odmawiał następującą rotę czarnoksiężkiego zaklęcia:

Chwała ci ziele poświęcone, chwala,
Na świętej ziemi poczęte,
I po raz pierwszy uszechknięte,
Gdzie święta oliwna skała!
Ulgo w niejednej potrzebie,
Jesteś lekarstwem zranieniu,
W świętym więc Maryi imieniu,
Zrywam ciebie!

Nie bez zadziwienia postrzegł Wawerlej, że sam nawet Fergus, mimo staranne wychowanie i wiadomości z nauk czerpane, zdawał się podzielać zabobonne współrodaków swoich uprzedzenia; bądź na okaz tylko, że mniemał, jakoby mu nie wypadało naruszać wiary, tak pospolitej w tym

względnie; bądź też (co podobniejsza do prawdy) że jak wielu innych, co się w takiej gadki głęboko nie zapuszczają, przechowywał część przesądów, które jego wolnomyślności w mowie i sprawach równie dotrzymywały wagi. Wawerlej nie wchodząc w bliższe rozpoznanie trybu leczenia, obdarzył profesora medycyny upominkiem przewyższającym wszystkie jego nadzieje; co tak dalece uradowało Eskulapa szkockiego, że krocie błogostawieństw gaelickich i angielskich, jedno po drugie bez żadnego powtarzań związku. Mac-Iwor skracając te rozciągające się bez miary podziękowania, wypchnął z szafasu stróża zdrowia ludzkiego, i rzekł: „*Caede millia molighart*,” to jest: niech cię diabli porwą.

Gdy wszyscy wyszli z szafasu, usnął Wawerlej osłabiony bólem i trudami całodziennej polowania. We śnie dostał gorączki zapewne od odurzającego napoju, którym musiał stary góral przysłużyć.

Nazajutrz o świcie, gdy cel łowieckiego zboru został osiągnięty, wniesiono zapytanie: co począć z chorym? którego przysługą myśliwską przerwała ochotę Fergus i jego przyjaciele szczerze żałowali Edwarda. Pierwszy kazał sporządzić lektykę z brzeziny i leszczyny, którą ludzie jego tak zręcznie i ostrożnie nieśli, iżby ich śmiało poczytać było można za antenatów tych dziarskich gaelickich drążkarzy, któ-

rzy obecnie z użyczenia szczęśliwego losu, pięć piękną, w zawartych lektykach, na barkach swoich dźwigają po ulicach Edynburga. Niesiony przez górali Wawerlej z ukontentowaniem przypatrywał się zwinieciu obozu leśnego; był to w rzeczy samej śliczny, romantyczny widok!

Na odgłos piszczałki zebrała się rozlicznych klanów drużyna; każdy plemienik rodu stawał pod przełożeniem patryarchalnego naczelnika. Niektóre oddziały ciągnęły przez góry; dalej wciasných przesmykach rozprasał się dźwięk coraz cichszej fujary. Inni rozdzieleni na wielokształtne mieniające się grupy, tworzyli ruchomy obraz na poziomej płaszczyźnie. Ich pióra i pledy powiewały w tchnieniu zarannego wiatru. Ich oręż lśnił się od promieni wschodzącego słońca. Wszyscy prawie naczelnicy razem się zeszli w celu pożegnania Wawerleja; wszyscy życzyli mu rychłego wyzdrowienia. Staraniem było Fergus'a, ile możności skracać te pożegnania; po czém zebrawszy wszystkich *swoich*, uszykował ich porządnie i ruszył naprzód, jednak nie tą drogą, którą w te miejsca przybyli. Oświadczył on Wawerlejowi, iż większa część jego ludzi zobaczyć musi na stronę, a on sam towarzyszyć im będzie dapołowy drogi; piérwój jednak Wawerleja zleci staraniu znajomego szlachcica, który go gościnnie przyjmie

w swoim domu. Przydał nakoniec, że wkrótce do swego przyjaciela wróci, i razem odjadą do Glennaquoich.

Zdziwiło to Wawerleja, że Fergus o dalszych zamiarach swoich żadnej wzmianki nie czynił, nim wyruszyli na łowy; wszakże w obecném położeniu swoim, nie mógł żądać bliższych objaśnień. Większa część klanu, jak uważał, z wielką ochotą udała się naprzód pod przewodnictwem starego Ballenkeirocha i Ewana Dhu Maccombich's; kilku tylko zostało dla straży naczelnika, który i na krok nie odstępując Wawerleja, pielegnował go starannością życzliwego przyjaciela.

Po długim pochodzie, dla ostrości drogi i nieuśmierzonego jeszcze bólu nader uciążliwym, stanęli nakoniec około południa w domu wzmiankowanego szlachcica, krewnego Fergus'a, gdzie Wawerlej znalazł wszelkie wygody, na jakie tylko zdobyć się mogła niewykwintna prostota ówczesnych górali. Gospodarz domni, starszek siedmdziesięcio-letni był wzorem starodawnéj otwartości, szczéroty i dobroci. Szaty jego z takich tylko tkanin się składały, które w granicach rodzinnej wyrobiano osiadłości. Wierzchnią suknię miał wełnianą z runa własnych owiec. Wełnę przędli domownicy, i powlekali farbami przyrządzonemi z ziół i roślin okalbierskich rosnących w górach téj okolicy.

Córki i służebnice tkwały płótno z lnu miejscowego; na stole nawet choć wytwornie zastawionym smakowitemi rybami i zwierzyną, nie było żadnej cudzoziemskiej potrawy. Obca była wszelka podniosłość, i duma sercu tego cnego starca. Nie roszczać prawa do żadnego przełożenstwa nad klanem i lennych prerogatyw, żył spokojnie pod opieką Vich-Jan-Vohra i innych możnych, śmiałych naczelników. Młódź z jego osiadłości często zaciągać się musiała pod znaki czynniejszych przyjaciół; zawsze jednak zostawało przy nim kilku starych sług, kilku czynszowników prawem wolnym osiadłych. Ci słysząc, jako czasem zarzucano starcowi, ich panu brak odwagi, potrzęsali siwą głową, mówiąc: „Kiedy wiatr cichy, z kądzie się weźmie dęszcz nawalny?“ Ten to poczciwy staruszek, którego serdeczna gościnność żadnych granic nie znała, nie tylko Wawerleja, ale najbiedniejszego kmiotka angielskiego, byłby najuprzejmiej powitał u siebie w razie takiej potrzeby; a cóż dopiero przyjaciela i gościa Vich-Jana-Vohra? Dla takiego przychodnia nie mógł zbyt czulej, zbyt bojaźliwiej okazywać troskliwości. Czém prędzej więc znowu opatrzone zwichniętą nogę; wszakże nie bez użycia nowych zakłec czarnoksiężkich. Uściwszy się wreszcie z przyjacielskiego obowiązku, większą może, niżeli trzeba było, starannością

około zdrowia Edwarda, pożegnał go Fergus, obiecując wrócić za dni kilka do Tomanrait w nadziei, iż natenczas Wawerlej będzie mógł dosiąść bieguna szkockiego i z nim razem odjechać do Glennaquoich.

Nazajutrz uwiadomił czcigodny gospodarz Wawerleja, że przyjaciel jego wyjechał przed wschodem słońca, jednego tylko do usług zostawiwszy Kalluma-Beg. Wawerlej badał gospodarza: czy nie wie gdzie się udał Mac-Iwor? Starzec spojrzawszy przenikliwym wzrokiem; tajemniczy, smutny uśmiech był całą jego odpowiedzią. Wawerlej powtórzył swoje zapytania; natenczas starzec odpowiedział przypowieścią:

„Ci w piekle po uszy siedzą,
Co pytają, choć dobrze wiedzą.“

Chciał dalej mówić, lecz Kallum-Beg przerwał mu: „Tighearnach (to jest naczelnik klanu) polecił mi, żeby *Sasseinachowi* (to jest angielskiemu) *Duiné-wassal* (szlachcicowi) nie naprzykrzano się wielomówstwem, ponieważ jest słaby.“ Z czego wyrozumiał Wawerlej, iżby nie miło było jego przyjacielowi, gdyby się u obcych wywiadywał o podróż, której przyczynę chciał mieć przed nim ukrytą.

Pomijamy dalsze szczegóły ze względu naprawiającego się zdrowia naszego przy-

jaciela. Szóstego poranku, gdy już o kija mógł chodzić, przybył Fergus z oddziałem dwudziestu ludzi. Zdawał się być w najlepszym humorze; wieszował Wawerlejewi odzyskanego zdrowia; wreszcie, ponieważ tak dalece przyszedł do siebie, że mógł wsiąść na konia, namienił: czyby razem nie mogli wrócić do Glennaquoich? Chętnie przystał na to Wawerlej, którego myśl, ten cały czas postać Flory zajmowała.

„Biegli więc górą i padołem, i po torfowych dolinach.“ Fergus ze swymi Mirmidonami nie odstępował Wawerleja, chyba że gdzie na uboczu zoczył sarnę, lub ciętrzewia. Coraz mocniej biło serce Edwarda gdy się zbliżali do starego zamku Janan-Chaistel — wkrótce postrzegł ubóstwową kochankę wychodzącą na spotkanie gościa i brata.

Fergus zawołał natychmiast właściwym sobie żartobliwym tonem: „Otwórz bramę twoją, nigdy niezrównana księżniczko rannemu Maurowi Abindarez, którego Rodrigo de Narwaez, dowódzca Antiquera w twoje progi wieszcie; albo otwórz ją, jeżeli ci się lepić to podoba, sławnemu Margrabiemu Mantui, nieszczęśliwemu towarzyszewi swego na poły zamordowanego przyjaciela Baldwinosa z góry — Ach! wieczny pokój tobie Gerwantesie! — Jakżebym zdołał bez twojej pomocy mowę

moją uczynić znośną romantycznym uszom!“

Flora zbliżyła się, i uprzejmie powitała Wawerleja, bardzo żałując, iż mu się takie nieszczęście przydarzyło, o którym już z wieści wiedziała; zarazem okazywała zadziwienie swoje, że brat jej nie miał bacniejszego względu na bezpieczeństwo Wawerleja, którego wyciągnął na te łąki. Edward gorliwie wymawiał naczelnika klanu, który życie jego, z narażeniem na niebezpieczeństwo własnego, ocalił.

Po tém przywitaniu, szepnęła Fergus swej siostrze kilka słów gaelickich. Łzy stanęły w oczach Flory; ale zdawały się to być łzy bogobojnego wesela, gdyż spojrzała w górę ku niebu, i załamała ręce, jakby do uroczystych dziękczynnych modłów. Po chwili milczenia oddała Edwardowi kilka listów pod niebytność jego odebranych z Tully-Weolan; oddała także kilka bratu, razem z trzema czy czterema numerami *Merkurego Kaledońskiego*, jedynego w owym czasie dziennika w północnych okolicach Tweedu (Szkocyi.)

Obadwa udali się natychmiast z *depeszami* do komnat swoich; wkrótce przekonali się Edward, że listy jego ważne zawierały wiadomości.

ROZDZIAŁ XII.

Nowiny z Anglii.

Treść listów, które Edward dotychczas z Anglii odbierał, była tak małoważna, iż one same nie zasługiwały na wzmiankę w naszej powieści. Ojciec zwykle pisywał do niego, jakoby nadto obarczony sprawami kraju, myślić o własnych nie miał czasu. Kiedy niekiedy, wymieniał znakomitsze osoby w Szkocyi, z którymi życzył sobie, aby jego syn bliższą zabrał znajomość. Lecz Wawerlej, cały oddany rozrywkom w Tully-Weolan i Glennaquoich, mało zważał na te zimne od niechcenia udzielone rady, zwłaszcza, że wielka odległość miejsc, krótki czas urlopu i t. d. za składną wymówkę służyć mu mogły. Tym czasem, w jednym z ostatnich listów pana Ryszarda Wawerleja, znalazł Edward pewne dwuznaczne, tajemnicze napomknienia o wielkości, o wpływie, który on niedługo osiągnąć może, a który pomoże jego synowi do prędkiego awansu, jeżeli zechce

zostać w wojsku — Inaczej brzniały listy sir Ewerarda. Były wprawdzie krótkie; bowiem dobry baronet nie należał do tych korespondentów, którzy bez miary i celu stronnicie swoich listów jak największego formatu, tak zapełniają literami, iż ledwie małe na pieczęć zostaje miejsce. Cechowała je serdeczność i czułe przywiązanie; przytém rzadko kiedy się kończyły bez wzmianki o koniu Edwarda, o stanie jego worka, i o tym lub innym rekrucie z Wawerlej-Honour.

Giotka Regina upominała synowca, żeby statecznie trwał w zasadach religijnych i szanował zdrowie; upominała go, żeby się strzegł mgły szkockiej, która, jak od ludzi słyszała, do nitki Anglika przemoczyć może; aby w nocy bez płaszcza nie wychodził, a szczególnie, żeby nosił flanelę.

Pan Rembroke napisał do naszego bohatera jeden tylko list; byłto atoli potwór ważący za sześć *epitrów* naszego pismiennego czasu, nabity gęsto i drobno, na dzieściu najmniej stronnicach *in folio*; zamykał zaś w sobie skróconą treść dodatku jednatomowego *in quarto*, *addenda*, *delen-da et corrigenda*, dotyczącego się traktatów pierwój udzielonych Wawerlejowi. Posłał to pan Rembroke tylko jako ponętę dalszym wabem rozżarzyć mającą ciekawość Edwarda, póki nie nadarzy się sposobność przesłania samego dzieła, które cokolwiek

za ciężkie było na pocztę; zwłaszcza, iż razem, chciał postać Edwardowi kilka ułotnych pisemek bardzo ciekawych, świeżo wytfoczonych, w *Little Britain* ujednego jego przyjaciela, z którym ón pewien rodzaj korespondencji zawiązał. W skutku tej korespondencji przybywało coraz więcej ciężaru pułkom bibliotek w Wawerlej-Honour, a rokrocznie podawany sir Ewerardowi rachunek od Jonatana Grubeta księgarza i papiernika w *Little Britain*, rzadko kiedy trzycyfrowej niedochodził summy.

Takiej treści listy, odbierał Edward z Anglii. Tą razą atoli, zamykały one w sobie rzeczy nader wielkiej wagi. Choćbym je co do słowa umieścił w tej powieści, nie mógłby się czytelnik domyślić, jakie okoliczności kierowały piórem korespondentów bez poprzedniego rozpoznania spraw angielskiego gabinetu.

Owczesne ministerstwo rozdzieliło się na dwa stronnictwa: w czém niemasz nic dziwnego! Jedno z nich słabsze, usiłowało strojeniem kabał zrównać przeciwnemu. Zyskawszy nakoniec kilku zwolenników, podniosło się w nadzieję wytrącenia z względów i łask monarszych, współzawodników, i zakrzywienia takowych w Izbie niższej. Uważano za rzecz godną starania, liczyć w swoim zastępie Ryszarda Wawerleja. Cny ten szlachcic, swoją w powagę

nastrojoną i pełną tajemniczości układnością, tudzież okazałą wystawą liczniejszych, niżeli ważnych spraw jego zleconych staraniu, jako i biegłością odmawiania publicznie długich a nieznosnie nudnych *oracyj*, których czczość mnóstwem spowszedniałych wystowień zrzęcznie umiał podbijać, a gdzie potrzeba to i nasadzać różnorodźwiecznym urzędowego stylu gwarem, zarobił sobie na głośne imię w zawodzie publicznym; i choć nie miał reputacji znakomitego mówcy, uchodził jednak, u wielu za głębokiego polityka. W rzeczy zaś samęj celował ón tylko niestrudzoną żadnem natężeniem pracowitością, która niezgorzej przystraja, jak zwykły wyrażać się damy, gdy w sklepie jedwabne wybierają tkaniny; choć nie na święto, to przynajmniej do codziennego użytku.

Tak upowszechniło się to mniemanie, że partya, o której wspomnieliśmy, wzięwszy rzecz pod ścisłą rozagę, osądziła, że nasz pan Ryszard, ma niepospolite talenta, i że mu należało, w przypadku, nastąpić mającej zmiany ministerstwa, znaczny jeżeli nie najpierwszy poruczyć urząd, któryby mu zapewnił wpływ rozciąglejszy i większe dochody. Trudno się było oprzeć takiej pokusie, lubo godzono na wielkiego męża, pod którego chorągwią dotąd P. Ryszard szczęśliwie żołdował, któremu był wszystko winien. Na nie-

szczęście piękny ten samolubstwa fortel, dojrzałym ze strony nieprzyjaciela obrotom w samym zarodku sfumiony został. Wszyscy urzędnicy, uwikłani w tę sprawę, dostali odprawę: co się zaś tyczy Wawerleja, którego nadto minister o niewdzięczność obwinił, temu przysłano dymisyę z obraźliwą, poniżającą cześć człowieka wymówką. Publiczność, a nawet i partya, której los podzielał, nie bardzo ubolewała nad nieszczęściem przydarzonem za własnymi tylko korzyściami ubiegającemu się samolubowi. Udał się on do swoich dóbr, rozmyślając o tak nagłej losu alternatywie, o odsądzeniu od urzędu, ostracie zaufania, i — co nie w mniejszej miał cenie, swoich dochodów.

List Ryszarda Wawerleja w tój materii pisany do syna, był arcydziełem w swoim rodzaju. Sam Arystydes nie mógłby wystawić rzeczy tak twardemi i żalosnemi słowy. „Niesprawiedliwy monarcha, i niewdzięczna ojczyzna“ każdy niemal okres kończyły. Prawił o długoletniej służbie, o dobrowolnych ofiarach; lubo pierwsza aż nadto hojnie wynadgrodzona była; a co się tyczy ostatnich, nikt nie zgadywał jakie to były ofiary, chyba, że do nich policzył owe odstępstwo od zasad torysowskich swojej rodziny, wczém jednak nie tak przekonaniem, jako raczej nadzieją zysków się powodował. Ku końcowi listu, obu-

wienie pana Ryszarda krasomowczem rozognione piórem, uniósło się do pewnych nawet pogroźek i zemsty, aczkolwiek mdłej i rozległością stylu z istoty wytrawionej. Oznajmił nakomiec Edwardowi, żeby po odebraniu tego listu podał się niezwłocznie do dymissy, na okaz publiczny niechęci, jaką w nim złe obejście się z ojcem wznieciło. Tegoż samego życzy sobie i stryj; o czém od niego samego uwiadomiony zostanie.

Drugi list był od sir Ewerarda. Niepomyślny los brata, zdawał się zacierać w jego sercu wszelką pamięć na dawne nieporozumienia. Nie wiedząc, że niełaska, w którą popadł Ryszard, była naturalnym skutkiem jego intryg, ikabał, przypisywał ją poczciwy, lecz łatwowierny baronet, niesprawiedliwości istniejącego rządu. „Prawdać i to“ są słowa jego wrzeczonym liście, „ponieważ tego przed tobą zataić nie mogę, że twój ojciec, nie byłby doznał takiej obelgi, jaka teraz poraz pierwszy jednemu z Wawerlejów wyrządzona została, gdyby się był sam na to nie naraził dobrowolnym przyjęciem urzędu w obecnym rządzie. Nie wątpię, że on teraz sam widzi, jak dalece zbłądził: mojem przeto staraniem będzie, aby z tego powodu ekonomicznej nie poniósł szkody. Dość natém, że Wawerlej postradał zaufanie publiczne; ekonomiczną stratę głowa rodziny łatwo

powetować może. „Dalej pisał, że jak panna Ryszarda, tak i jego jest życzeniem, żeby przyszły reprezentant rodu Wawerlej-Honour, nie zostawał dłużej na poczcie, która go na podobną może narazić hańbę. Namawiał przeto synowca, aby za pierwszą nadarzoną sposobnością, żądał od ministerstwa wojny, uwolnienia od obowiązków służby; namienił zarazem, iż w tej mierze, tak bez ceremonii postąpić sobie może, jak sobie z jego ojcem postąpiono. W końcu tysięczne zaszyłał pozdrowienia baronowi Bradwardine.

Otwarciej jeszcze pisała ciotka Regina. Nazwała ona niełaskę, w którą jej brat popadł, słuszną karą za przeniewienie się prawemu, choć wyganemu monarsze złożeniem hołdu posłuszeństwa obcemu królowi. Takiego przestępstwa, niedopuszcziliby się jej dziad sir Nigel Wawerlej, tak za czasów presbiteryańskiego parlamentu, jako i samego Kromwela, choćby też z narażeniem własnego życia i majątku. Miała przeto nadzieję, że jej najdroższy Edward wstępując w ślady przodków swoich zrzuci z siebie niegodne więzy, a niesprawiedliwość ojcu wyrządzoną uważać będzie jako upomnienie nieba ostrzegającego, iż nikt bezkarnie z drogi honoru nie zbacza. I ona także uprzejmie pozdrawiała barona Bradwardine, prosząc Edwarda, żeby jej doniósł: czy jego córka Róża już w takim

jest wieku, by mogła nosić piękne złote kulczyki, które jej wdowód przywiązania swego przysłać obiecała. Dobra lady pytała się także Edwarda, czy pan Bradwardine zawsze takie mnóstwo tabaki zażywa, i czy tak zacięcie tańczy jak przed trzydziestą laty, gdy gościł w Wawerlej-Honour.

Te listy, jak łatwo domyślić się można, do najwyższego stopnia oburzyły Wawerleja. Różnorodne zdania wyczerpnięte z ksiązek, które bez żadnego czytał porządku, nie umocowały w jego umyśle żadnych zasad politycznych, któremiby mógł ukoić urazę z powodu mniemanej krzywdy, jaką ojcu jego wyrządzono. Nie znał rzeczywistej przyczyny dla której tenże z urzędu został złożony; śród zwykłych zatrudnień swoich nie nauczył się jeszcze oceniać cząsowej polityki z właściwego stanowiska, i zważać kabał, w które tak dalece ojciec się jego uwikłał. Przydać do tego należy, że wyobrażenia, jakich nabył w Wawerlej-Honour co do seki politycznych swego czasu, bynajmniej go na stronę istnącego rządu nie skłoniły. Nie więc dziwnego, że tą samą uniósł się niechęcią, jaką w nim wzbudzali jego krewni, mający niezaprzeczenie prawo kierowania Edwarda postępowaniem. Nie wahał się też uczynić zadość ich woli w tej mierze; tém bardziej, że stan wojskowy nie przypadał do miary z je-

go usposobieniem; może też i to go bolało, że w pułku nie miał wielkiego znaczenia. Wreszcie choćby zostawała jaka w tej mierze wątpliwość, usuwał ją następujący list pułkownika Edwarda, który dla zwyczajności swojej zasługuje być tu dosłownie umieszczonym:

Mości Panie!

—Wyrozumiały byłem nad powinność moją dla uchybień niedoświadczonej W Pana młodości. Gdy jednak ta moja względność, i to pobłażanie złe tylko skutki za sobą pociągają, muszę przeto właściwszych chwycić się środków. Niniejszém więc, rozkazuję W Panu, abys za trzy dni od daty niniejszego listu stawil się w głównej pułku kwaterze. W razie nieposłuszeństwa nie będziesz mi W Pan miał za złe, że go przedstawię radzie wojennej jako nieobecnego bez urlopu, co jednak nie będzie miło ani Wacpanu, ani jego

uniżonemu studze

J. G....

dowódcy pułku Dragonów.

Zapaliła się krew w żyłach Edwarda, gdy ten list czytał. Z młodu przywykły do rządzić czasem swoim wedle upodobania, żadnej nie cierpiał karności. Mniemał także wstępując w służbę wojskową, że obowiązki takowej ze względu jego samego, nie tak

ściśle przestrzegane będą. Dawniejsze łagodnie pułkownika postępowanie, jeszcze bardziej utwierdziło go w tém rozumieniu. I tego teraz nie mógł pojąć, co mogło spowodować pułkownika, który, jakośmy widzieli w jednym z poprzedzających rozdziałów tak grzeczne pisywał listy, do użycia słów tak twardych, do tak ostrych wymówek. Gdy tedy list pułkownika z listami od rodziny odebranemi przyrównywa, rzeczą jest naturalną, że natychmiast w głowie jego ta myśl powstać musiała, jakoby w obecnych stosunkach, rząd każdego członka rodziny Wawerlejów, z planu naprzód ułożonego, uciskać przedsięwziął.

Zatém skwapliwie wzięwszy pióro do ręki, krótkimi słowy odpisał pułkownikowi ubolewając: że dawne względy i uprzejma grzeczność, za którą mu dziękował, tak prędko w jego się zatarły pamięci. Toż: że styl listu pułkownika, jako i obecne krytyczne okoliczności zmuszają go do uwolnienia się od obowiązków służby; przeto celem przerwania nieprzyjemnej korespondencji załącza podanie się do dymisji, prosząc pułkownika, żeby takową wyższej władzy przełożył raczył.

Gdy ten list skończył, tkwiła jeszcze pewna wątpliwość w głowie Edwarda, co do właściwości wyrazów jakich mu użyć wypadało w rzeczonym podaniu się do dymisji; z tego przeto względu postanowił

zasięgnąć rady Fergususa. Nawiasowo wspomnieć tu muszę, że prędki rozmysł i śmiałość oznaczająca młodego naczelnika we wszelkiej sprawie i w mówieniu, wbiły Edwarda w wysokie ozdolnościach jego rozumienie. Równą od natury obdarzony bystrością umysłu, a daleko genialniejszym duchem, dostatecznie przeciw widziwić się nie mógł Edward czynnemu, skoremu, żartkiemu dowcipowi Fergususa, który nadto wyostrzyły: zwyczaj podciągania wszelkich postępów i działań swoich pod jedno gruntownie i porządnie ułożone systema, i rozległa świata znajomość.

Zastał Wawerlej przyjaciela swego z gazetami w rękę: z twarzy Fergususa wyczytać było można, że niepomyślne dla Edwarda nowiny zawierają. „Czy listy twoje kapitanie Wawerleju, potwierdzają smutne doniesienie umieszczone w tym dzienniku?“ Dał następnie Wawerlejowi gazetę londyńską, która najuszczęśliwzemi słowu obwieszczała *dyzgracyą* jego ojca. Przy końcu artykułu te znajdowały się wyrażenia:

„Namieniec winniśmy, że ten Ryszard, który się tego wszystkiego dopuścił, nie jest jedynym przykładem *Wawering Honour* (skażenia honoru) wrodzinie W-v-r-l-y-H-n-r (Wawerlejów Honor). Patrz dzisiajszą gazetę.“

Z drżeniem serca, jak tylko mógł naj-

skwapliwiej przebiegł nasz bohater całą gazetę i wyczytał: „Edward Wawerlej kapitan w pułku dragonów wykreślony z kontrol za nieobecność bez urlopu. Postępowana wyższe stopnie: Porucznik Juliusz Butler na kapitana w tym samym pułku, w miejscu wykreślonego z kontrol Edwarda Wawerleja.“

Bohater nasz zapalił się namiętnym gniewem z obruszenia, jakie niesprawiedliwa, i wedle wszelkiego podobieństwa do prawdy, nie bez rozmysłu, publicznie, wyrządzona obelga wzbudza w sercu człowieka postępującego drogą honoru. Z porównania daty listu pułkownika i artykułu gazety, przekonał się Wawerlej: że tamten co do litery zjścił pogroźkę swoją doniesieniem o jego nieobecności radzie wojennej; bez zasiągnięcia, jak się zdawało, poprzedniej wiadomości: czy rozkaz doszedł Wawerleja, i czy go mógł w tak krótkim czasie wykonać. Nie mógł przeto w tém wszystkim nie upatrywać uchwalonego zamiaru poniżenia siebie w oczach publiczności; a myśl, że taki plan do skutku rzeczywiście przywiedziony został, tak silnie całą jego zatrzęsniętą naturę, iż niezdolny ukryć wewnętrznych wzruszeń, rzucił się w objęcie Mac-Iwora, puszczając wolny bieg strumieniowi łez, — wstydu, i złości.

Nie znał Mac-Iwor przywornę na krywdę przyjaciół swoich obojętności; szcze-

rze się też roztkliwił niedolą Edwarda, bez żadnego względu na korzyści, jakieby ztąd dla widoków jego urość mogły. I on również, przyczyny tych wypadków nie zgadywał. Dorozumiewał się w prawdzie: dla czego Wawerleja tak nagłym rozkazem doputku powoływano; ale, że sam dowódzca, człowiek znany powszechnie z charakteru swojego, wbrew temuż, nie wchodząc w rzeczy istotę, dał się tak ślepo obcą powodować namową — tego ani pojąć, ani wytłumaczyć sobie nie mógł. Tym czasem wszelką usilność swoją w to położył, żeby uspokoić naszego bohatera i myśl jego powoli nakłonić ku wzięciu zemsty z tych którzy mu taką zelżywość uczynili.

Nie długo się namyślał Edward. „Dobrze.“ rzekł — „zechceszże się zmierzyć kochany Fergusie w imię moje z Pułkownikiem, i tём sobie zobowiązać mnie do śmierci?“

Fergus milczał — „Jestto przyjacielska usługa, z którejbym się nie wymawiał, gdyby sławę twoją kapitanie naprawić zdołała; wątpię atoli, żeby pułkownik przyjął wyzwanie: albowiem działając w obecném zdarzeniu, nie przestąpił granic swojego obowiązku. Z resztą G... jestto pełen uprzedzeń Hugenot, — rozumię jakoby pojedynkę wielkim był grzechem i ręczę, że się bić nie będzie, chociaż odwaga jego żadnemu nie ulega zaprzeczeniu. Naostatek

jak nateraz, ważne przyczyny nie pozwalają mi zbliżyć się do żadnego stanowiska wojskowego, do żadnego garnizonu w obrębę teraźniejszego rządu.“

„Cóż mam począć? Ciępić zniewagę obojętnie?“

„I jaby ci tego nie życzył, drogi przyjacielu! Lecz jaby ci się mścił na głowie, nie na ręce; szukałbym zemsty na despotycznym nieprawym rządzie, który z rozmysłem, według ułożonego planu podobnemi obelgami szafuje, nie z narzędzi, i wykonawców niesprawiedliwości.“

„Na rządzie!“

„Tak jest, na domie hanowerskim, na wydziercy korony, pod którymby się twojemu pradziadowi tak służyć chciało, jak żołąd wieść pod złociścią i ognistą chorągwią szatana w piekle.“

„Ależ od czasów mojego pradziada czwarte już pokolenie tego rodu zasiada na tronie angielskim.“

„Prawda; a więc — ponieważ tyle użyczyliśmy im czasu pokazania się jakimi są w istocie; ponieważ my obadwa i ja i ty cichém uleganiem tak dalece zastósowaliśmy się do okoliczności, żeśmy nawet pod ich znakami służyli, a tём samém nastęrczyli im sposobność poniżenia nas w opinii publicznej, skoro się nam od złej ich sprawy odstąpić podobało — pytam się czyż nie przyszło do tego, że teraz mścić

się musimy zniewagi, którejsię ojcowie nasi lękali, a którą nam samym rzeczywiście wyrządzono?— Albo i to: czyż nieszczęśliwa Stuartów rodzina, mniejsze ma do tronu prawo, że się takowe w spuściznie dostało następcy, na którym żadna nie ciąży wina złych rządów jego rodzica!— Przypomnij sobie owe wiersze jednego z ulubionych poetów waszych, które prozą, powtórzę: „Gdyby był nawet Ryszard dobrowolnie zrzekł się korony, król to tylko rozdaje co jego jest własnością; lecz nie naruszone zostało następstwa prawo; Ryszard miał syna.“ Szkoła, że nie ma Flory, onaby i rymy spamiętała. Lecz idźmy. Wypogodź twoje czoło kapitanie; ja ci wskażę drogę prędkiej i sławnej zemsty. Idźmy do Flory; ona zapewnie udzieli nam więcej jeszcze nowin. Dowie się z radością, że porwałś więzy swoje. Piérwój atoli opatrz kapitanie list swój przypiskiem, i połóż datę dnia kiedy otrzymałeś piérwsze od pułkownika wezwanie. Następnie oświadcz temu kalwinowi, że mocno żałujesz: iż skwapliwością swoją uprzędził podanie się z twój strony do dymissyi. Niechaj się wstydzi za tak nieuczciwe postępowanie.“

List zapieczętowany, zawierający *abdykacyę* stopnia kapitańskiego odesłał natychmiast Mac-Iwor z kilką własnymi swojemi listami na pocztę.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

